ROK II. Nr. 50 (99) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 14 grudnia 1930 r.

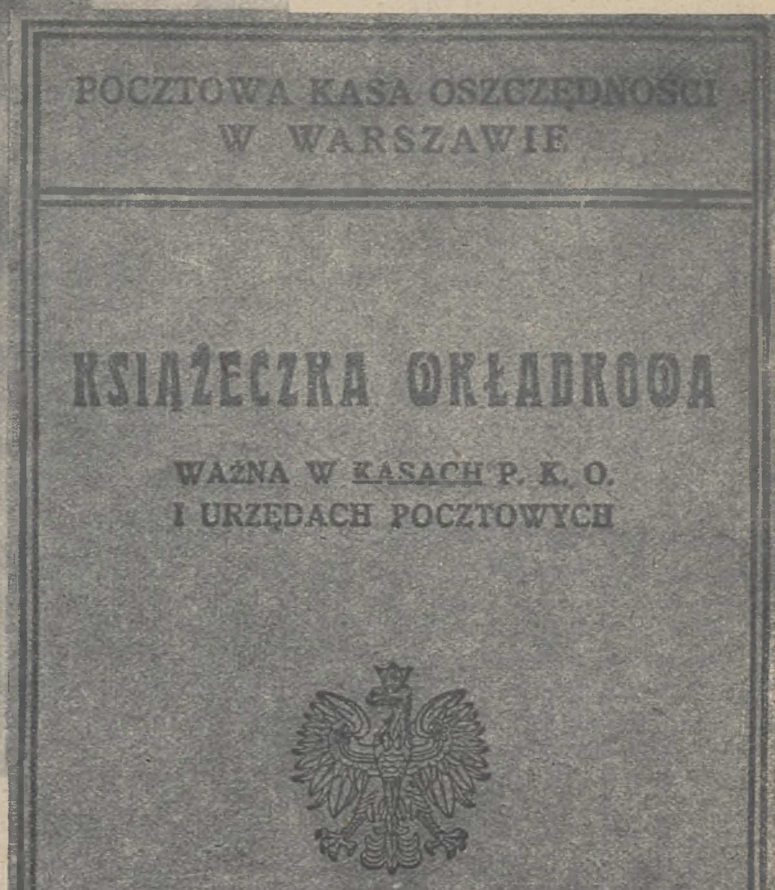
7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Pomyśl o przyszłości Twego dziecka



P.K.O.

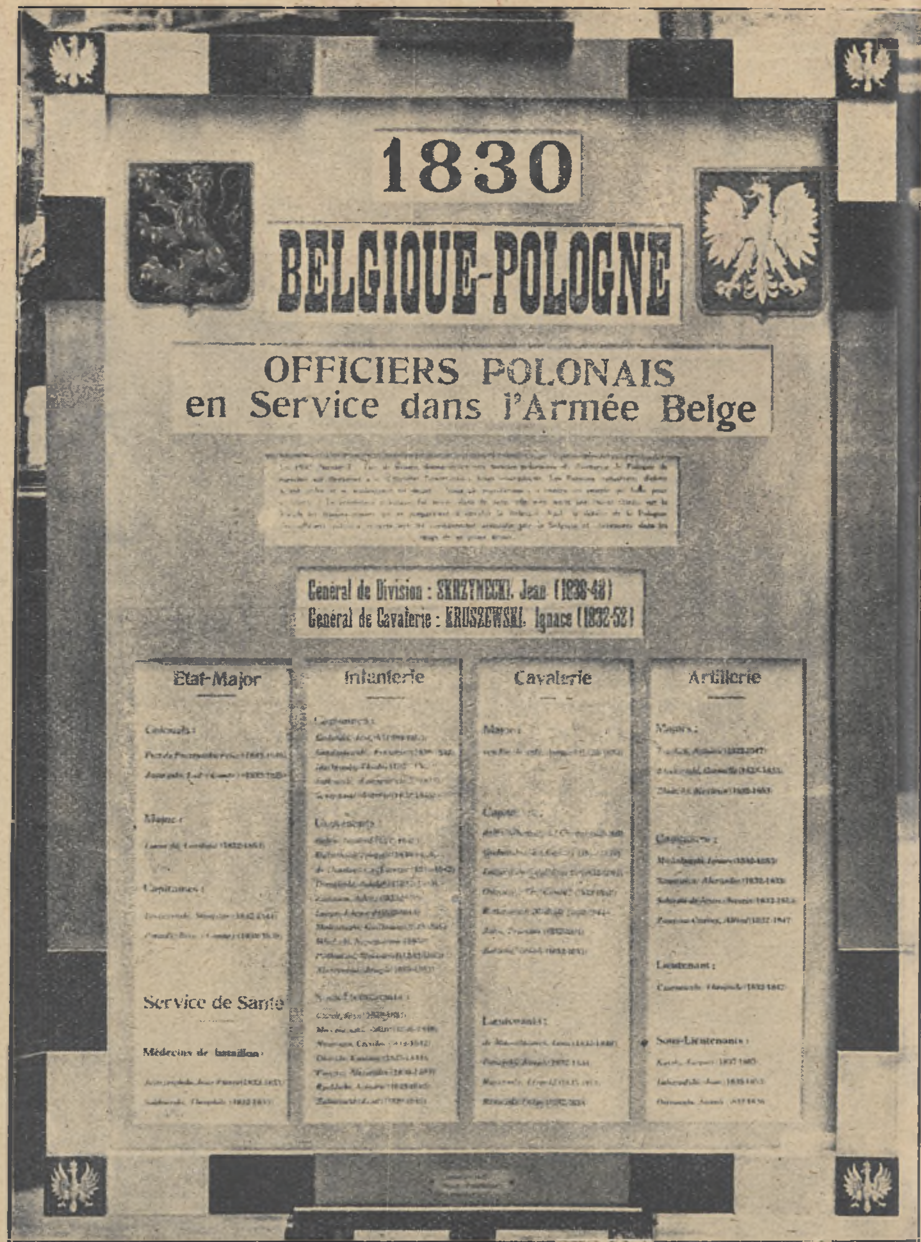
KSIĄŻECZKA OSZCZĘDNOŚCIOWA I UBEZPIECZENIE POSAGOWE P. K. O. TO NAJLEPSZY PODAREK GWIAZDKOWY, DYKTOWANY PRZEZORNOŚCIĄ RODZICÓW



Australijska lotniczka, mrs. Keith Miller, która startowała z Kuby w kierunku Florydy, zginęła bez wieści.



Słynny wynalazca Marconi został prezesem Akademji Umiejętności w Italji.



W setną rocznicę powstania listopadowego odbyła się w Brukselli wzruszająca uroczystość odsłonięcia tablicy ku czci 53-ch oficerów Polaków — z generałami Janem Skrzyneckim i Ignacym Kruszewskim na czele, którzy po upadku powstania odbywali służbę służbę w szeregach belgijskich. Tablica została wmurowana w muzeum wojska, obok tablicy ku czci bohaterów Wielkiej Wojny. Podczas uroczystości przemówienia wygłosili min. Jackowski, prez. t-wa polsko-belgijskiego, gen. bar. Baltia oraz dyrektor muzeum Lecomte.

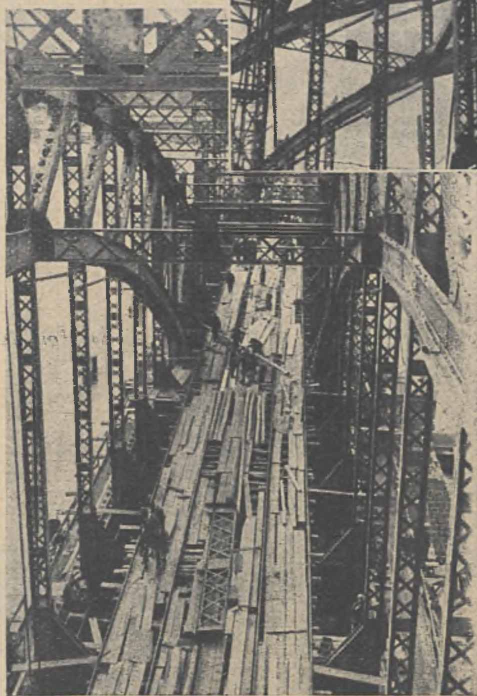


Mianowanie nowego gabinetu jest przedmiotem licznych dyskusyj w całej prasie. Jako nowi członkowie weszli: dr. Leon Kozłowski (na miejsce b. min. Staniewicza), gen. Neugebauer (na miejsce b. min. Moraczewskiego) i Czesław Michałowski (na miejsce b. min. Cara). Obiegają pogłoski, że nastąpi również zmiana w min. spraw zagranicznych, któreby miał objąć min. Beck, min. Zaleski natomiast miałby zostać przeniesiony do Londynu na miejsce amb. Skirmunta.

Nowy most na Wiśle

RZUT OKA NA PRACĘ LUDZI - PAJĄKÓW.





Mieszkańcy stolicy, przyzwyczaili się już niestety do kilkoletniego dłubania, na którem ograniczają się tymczasem poczynania, w kierunku zrealizowania pomysłu t. zw. linji średnicowej i dworca centralnego.

Niektórzy, ciekawi, schodzili do tunelu, doprowadzonego już dziś do prowizorycznego dworca, innym w nos buchnęła para z otworów wentylacyjnych w chodniku, zwracając uwagę, iż coś tam się dzieje pod ziemią... — lecz do końca tych robót jeszcze daleko, końca — nie widać...

I oto znów jedno z ogniw tego wielkiego dzieła zostało doprowadzone do końca — budowa na Wiśle mostu, który przez dłuższy czas drażnił tylko mieszkańców, sterczącemi z wody filarami, zachęcając do krytyki i utyskiwań.

Budowy tej dokonano tak szybko, iż z pewnością wielu jest takich obywateli, którzy nowego mostu jeszcze nie widzieli.

A rzecz ta — aczkolwiek daleka od rozmiarów olbrzyma na Hudsonie — jest warta widzenia i podziwu.

Nowy most, długości około kilometra, oparty jest na 2-ch przyczółkach i 4-ch filarach: składa się z 5-u przęseł, ważących około 5.000 tonn. Konstrukcja, której górne części sięgają 20 m. wysokości, została dokonana przy użyciu najnowszych metod technicznych, jak pneumatyczne nitowanie, elektryczne wiercenie otworów i t. p.

Czterystu wykwalifikowanych robotników pracowało przy budowie około pół roku z niemałym nakładem sił, gdyż zadanie „człowieka-pająka", sterczącego gdzieś, wysoko, na skrzyżowaniu rusztowań, wymagało dużej dozy zdrowych nerwów.

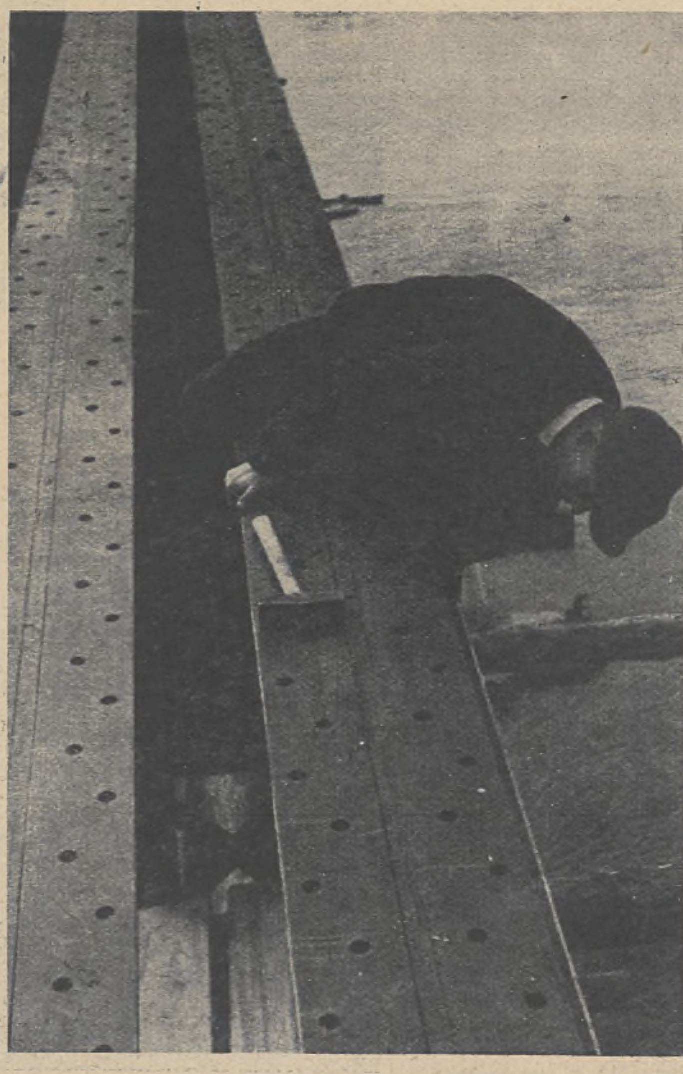
Roboty te, prowadzone jednocześnie z obu brzegów, pochłonęły również niemało pieniędzy — kosztorys bowiem samej konstrukcji nawierzchni wyniósł około 7 miljonów złotych.

Most więc już stoi — możemy go podziwiać, lecz czy prędko doczekamy się widoku przebiegających po nim pociągów? A widok ten będzie doprawdy zajmujący, gdyż normalny rozwój ruchu przewiduje 15 pociągów na godzinę.

(s.)

Szkielet mostu kolejowego, linji średnicowej w Warszawie, czyni imponujące wrażenie.





Ci nie mogą cierpieć na chorobę „przestrzeni" czy „wysokości".

B. LEPECKI.

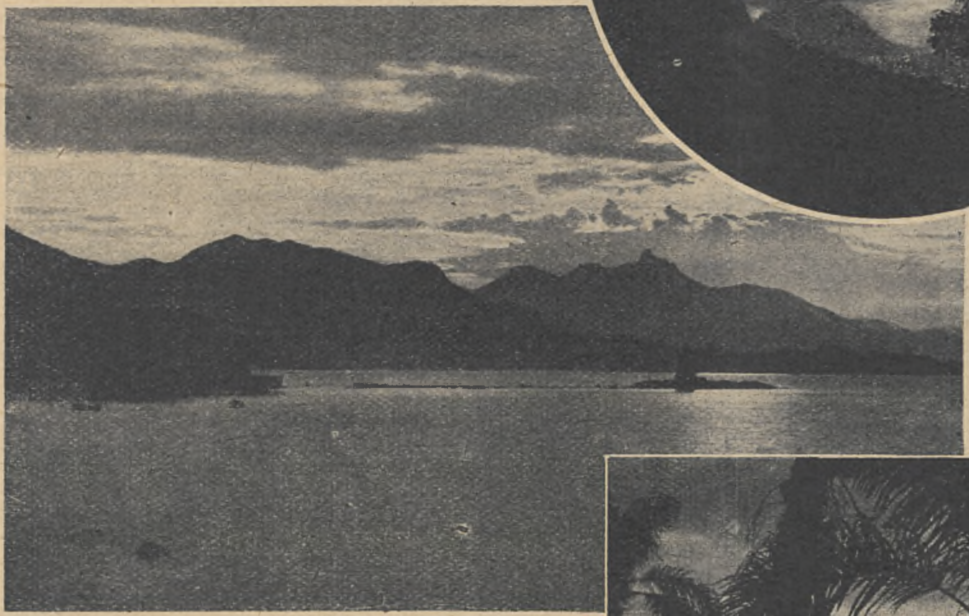
W TATRACH BRAZYLIJSKICH

(KORESPONDENCJA WŁASNA.)

Warszawianin, pragnący odetchnąć świeżem powietrzem górskiem, musi przez kilkanaście godzin tłuc się w pociągu kurjerskim, zanim — zmordowany do ostateczności — dobije wreszcie do Zakopanego. O ileż szczęśliwszy od niego jest mieszkaniec Rio de Janeiro czyli t. zw. popularnie w Brazylji „cariosa". Podróż górska nie jest dla niego kwestją dni, ale godzin. Wystarczy, aby wsiadł do tramwaju, zapłacił 70 groszy, a po upływie trzech kwadransów znajdzie się w samem sercu gór. Nie dziwota — góry te znajdują się bowiem w środku miasta.



Rio de Janeiro w nocy.



Ogólny widok gór przecinających stolicę Brazylji

W pewnem miejscu kończą się wspaniale asfaltowane ulice, aby ustąpić miejsca zbitym gąszczom zwrotnikowej zieloności, zalegającej stoki niebosiężnych gór.

Mieszkając od miesiąca w Rio de Janeiro, z tęskną pożądliwością spoglądałem na góry, w których spodziewałem się znaleźć ochłodę, po skwarze tropikalnego miasta. Pewnego upalnego dnia, kiedy żar był szczególnie nieznośny, udałem się z p. F. na wycieczkę. Z licznych gór, piętrzących się w samem sercu miasta, wybraliśmy Tijucę, nadającą się szczególnie do tego rodzaju ekskursyj. Szczyt jej wznosi się 1.017 metrów nad poziomem morza a przez lasy, zarastające jej zbocza, prowadzi piękna aleja, zamieniająca się w pobliżu szczytu na wąską ścieżynę.

Początek drogi był nieciekawy. Tramwaj, którym wyjechaliśmy z najpiękniejszej ulicy rioskiej — Avenidy de Rio Branco — jechał początkowo przez dobrze mi znane ulice śródmieścia. Dopiero po upływie 45 minut, kiedy skończyły się szyny tramwajowe i znaleźliśmy się na drodze leśnej, podróż zaczęła być interesująca. Po obu stronach drogi piętrzyły się wspaniałe okazy flory zwrotnikowej. Olbrzymie drzewa, splątane mocnemi sznurami ljan, tworzyły zwartą ścianę, niezmiernie trudną do przebycia. Gdzie niegdzie zwieszały się z drzew girlandy kolorowego kwiecia, odurzającego silną wonią. Pomimo bliskości miasta, puszcza zachowała całą swoją dziewiczość.

Lasy brazylijskie nie nadają się do spacerów: nie można w ich wnętrzu spotkać rozbawionych wycieczkowców. Na straży ich pierwotności stoją jadowite węże, snujące się całemi masami po dnie podmokłej kniei; zbite gąszcze ljan, uniemożliwiające szybsze posuwanie się, wreszcie piekielny upał, niezachęcający do pokonywania jakichkolwiek trudności. Nie zapuszczają się w ich głąb ani ludzie, spragnieni wytchnienia, ani tej pary miłosne.. Nic więc dziwnego, że las, zalegający stoki Tijuci, przypominał zupełnie lasy wnętrza Brazylji, chociaż znajdował się w samem środku wielkiej metropolji południowo - amerykańskiej.

Droga prowadziła zakosami pod górę. Po kilkunastu minutach marszu, wyłoniła się nagle przed nami olbrzymia skała, obramowana festonami żywej zieloności. Ze szczytu skały tryskał potok srebrzystej wody, rozbijającej się z hukiem o kamienie. Stanąłem, przejęty zdumieniem; zdawało mi się, że jakiś dobroczynny genjusz przeniósł mnie nad Siklawę w tatrzańskich Pięciu Polskich Stawach. Gdyby nie roślinność zwrotnikowa, rozpościerająca się w pobliżu wodospadu, złudzenie byłoby zupełne. Ta sama wąska smuga wody, zlatująca z wielkich wysokości, te same tęcze, snujące się na srebrnych rozbryzgach...



Wybrzeże morskie w Rio de Janeio.



Plac Marszałka Floriano w Rio de Janeiro.

Za wodospadem droga zwężała się znacznie. Z głębi lasu buchał nieprzyjemny zapach gnijących liści i gałązek, w powietrzu czuć było wilgoć — niemal dotykalnie stawało się w obliczu boru zwrotnikowego.

Uszliśmy już dobre 4 kilometry, wdzierając się na wysokość siedmiuset metrów nad poziom morza, kiedy powonienie nasze uderzył ostry zapach dymu, dobywającego się z głębi kotlinki, rozłożonej kilkanaście metrów poniżej drogi.

— Któż tam obozuje? — pomyślałem z ciekawością.

Postanowiliśmy zbadać tajemnicę. Z wszelkiemi ostrożnościami zapuściliśmy się w głąb lasu. Droga była nad wyraz trudna. Każde dziesięć metrów przestrzeni, musieliśmy

zdobywać kosztem nadludzkich wysiłków. Nie mieliśmy ze sobą fakonów do wyrąbywania ścieżek, więc posuwanie się nasze było podwójnie trudne. Zanim opamiętaliśmy się, ostre ciernie nadszarpnęły nam mocno garderobę i pokrwawiły ręce.

Trudy jednak nasze nie pozostały bez nagrody.

W cieniu rozłożystych liści bananowych ujrzeliśmy coś niesłychanie egzotycznego. Na samem dnie mrocznej kotlinki znajdował się maleńki szałas, sklecony ze zbutwiałych desek, gliny, patyków i liści bananowych. Ściany szałasu były tak nieszczelne, że widać było przez nie wnętrzne improwizowanego domku. Na podłodze płonął ogień, nad którym wisiał garnek. Koło „kuchni" krzątała się gospodyni, młoda i sympatyczna mulatka. Na klepisku pełzało dwoje kędzierzawych i czerniawych nieco dziudziusiów.

Co mogło skłonić sympatyczną mulatkę do mieszkania na takiem odludziu? Postanowiłem zrobić z nią maleńki wywiad. Zaklaskaliśmy w dłonie (klaskanie zastępuje w Brazylji nasz dzwonek). Z chaty wyszła gospodyni i zapytała, czego sobie życzymy. Kiedy powiedzieliśmy, o co nam chodzi, objaśniła nam, że bynajmniej nie tęsknota za egzotycznością skłoniła ją i jej męża do przebywania w głębi lasu. Zmusiła ich do tego nędza. W prześlicznem Rio de Janeiro nie brakuje wprawdzie mieszkań, ale ceny ich są tak wygórowane, że jej mąż nie mógł zarobić na wynajęcie skromnego, choćby, pokoiku. Być może również (ale o tem mulatka nie wspominała), że nie był nadzwyczajnie pracowity i cierpiał z własnej winy... Ostatecznie jednak — nie mając innego wyjścia — powędrował z żoną i dziećmi na Tijucę i tu zbudował sobie własny domek. W pobliżu była woda i rosło sporo drzew bananowych, nie można było umrzeć z głodu, nawet w czasie największego kryzysu. Przez pięć dni w tygodniu, nadobna mulatka była w szałasie sama, gdyż mąż pracował na dole i nie mógł codziennie wdrapywać się na wysoką górę. Dopiero w sobotę wieczorem zjawiał się w domu, aby przywieźć nieco produktów, uścisnąć żonę i nacieszyć się dziećmi. W W poniedziałek, wczesnym rankiem, musiał wracać na dół, aby po tygodniu znowu wędrować na Tijucę.

Na pytanie, czy nie boi się samotnie przebywać w głębi puszczy, mulatka roześmiała się serdecznie. — Mój mąż ma ostrą brzytwę — odpowiedziała z radosną dumą i pomściłby krzywdę, mi wyrządzoną.

Nagle przypomnieliśmy sobie, że wieczór sobotni się zbliża i mąż mulatki wyłoni się za chwilę z gąszczu leśnego. Prawdopodobnie nie będzie zadowolony z bytności obcych mężczyzn w swojej chatce. W Brazylji jest rzeczą bardzo niebezpieczną narażać się na tego rodzaju spotkania... Nie zwlekając więc, pożegnaliśmy mulatkę i udaliśmy się w drogę powrotną. Tym razem nie potrzebowaliśmy przedzierać się przez zarośla, gdyż gospodyni wskazała nam ścieżkę, łączącą jej chatkę z drogą, wiodącą na Tijucę.

Wracaliśmy w zadumie do przystanku tramwajowego. Zapadał szybki, podzwrotnikowy zmrok. Poprzez gęstwinę drzew, mrugały ku nam miljony świateł Rio de Janeiro. Wokół szumiała puszcza dziewicza; niedaleko, w cichej kotlince górskiej, żyli ludzie życiem niemal pierwotnem, a tymczasem, u podnóża góry, o kilkanaście minut drogi tramwajem, rozciągało się wspaniałe miasto, imponujące nowoczesnością swojej kultury. Co za dziwne kontrasty.

Jeszcze kilkanaście minut drogi tramwajem i znaleźliśmy się na gwarnych ulicach Rio de Janeiro. Elegancka publiczność rioska, z pewnem zgorszeniem spoglądała na nasze poszarpane, w czasie przeprawy przez puszczę, ubrania... Nie wiedziała, że wracamy z dżungli, rozpościerającej się na stokach Tatr brazylijskich, w samem sercu ich pięknego miasta.

PANTALEJMON ROMANOW.

SPADEK

Pociąg wolno wdrapywał się na górkę. Wzdłuż toru przesuwała się jakaś wiosczyna, kryjąca się w świerkowych zagajnikach.

Po środku zielonej murawy, na której widać było resztki kwietników, wznosiły się stosy pokruszonej cegły. Po bokach tego śmietnika czerniały stodoły i budynki, z wywalonemi wrotami, bez dachów i kominów.

— Popatrzcie, jak tutaj nabroili — odezwał się siedzący przy oknie wagonu robotnik, w ciepłej czapce z nausznikami. — Zamiast tego, żeby strzec bogactwa narodowego, wszystko puścili na cztery wiatry.

— U nas tak wszędzie — odparł siedzący nawprost robotnika wieśniak, który rozpiąwszy szubę, co chwila drapał się po skołtunionym łbie. — Byłem kiedyś stróżem u naszego pana we dworze... to wszystko rozdrapali. Dwór był duży, podłogi w nim z posadzkami, a w sieni nawet marmurowe płyty... Powyłamywali wszystko i zataszczyli do siebie. Po miesiącu została tylko kupa cegieł... taka jak tutaj... A potem to mnie zrobili stróżem całego miejsca... niby przeciwko złodziejom...

— Cóż to, stróżem zostałeś samych cegieł?

— Ano! takie rozporządzenie — mruknął wieśniak, machnąwszy ręką. — Powiesz im cokolwiek, a oni zaraz: „Myśmy ciebie tu naznaczyli, bo teraz my gospodarze. A jeżeli, mówią, będziesz przeszkadzał zabierać, to przegonimy"... Dwa tygodnie stróżowałem...

— A pocoś pilnował? — spytał jakiś głos.

— Poco?... A czy ja wiem, poco... Dla porządku. Mnie i tak nic nie płacili... Ot! co gdzie sam zdobędziesz, to i zjesz...

Do przedziału wszedł nowy pasażer. Był niskiego wzrostu, w krótkim kożuszku, z wystrzępionemi brzegami, z dziwną laską w ręku, tak dziwną, że wszyscy najprzód spojrzeli na laskę, a potem dopiero na wchodzącego.

— Pewnie też w spadku dostał — powiedział robotnik, patrząc na laskę — gdyby tu byli rozumni ludzie, z wykształceniem, możnaby stworzyć wiele dobrego. A tak, wy sami mieszkacie w świńskich chlewach, niszcząc porządne budynki.

— A co mnie do tego! — odparł wieśniak. —Brałem bez niszczenia. I drudzy też brali. W sąsiedniej wiosce, jak zaczęli brać, to całemi furami wywozili...

— Ot, mądrzy ludzie — drwiąco zauważył robotnik, ponuro spoglądając w okno — zamiast, żeby mieć z tego jakąś korzyść, równają wszystko z ziemią...

— Zanim zaczniesz czegoś używać z pożytkiem, to się nawet na obtarcie gęby nie zostanie — zgodnie odpowiedział chór głosów.

— Trudno, nastały gorące czasy — odezwał się dychawiczny staruszek

— Najprzód weź, a potem zobaczysz, czy się na co przyda — rozległ się gdzieś z góry głos niewidzialnego pasażera. Najwidoczniej leżał na górnej półce i zwiesiwszy głowę, przysłuchiwał się całej rozmowie.

— U nas też byli tacy mądrale, którzy to samo mówili, ciągle czekali, niczego nie brali, a w końcu zostali bez niczego — powiedział wieśniak w szubie.

Robotnik, na którego teraz wszyscy napadli, wydawał się zmięszanym. Brak mu było narazie słów. Nagle zwrócił się do wieśniaka, który skręcał sobie papierosa z machorki i oparłszy mu rękę na ramieniu, spytał:

— A ty do jakiej partji należysz?

W przedziale zaległa martwa cisza. Wszyscy spojrzeli na wieśniaka, czekając, co odpowie.

— Jesteśmy socjaliści, prawda? — odpowiedział tenże, patrząc robotnikowi prosto w oczy, jakgdyby wyczekując dalszych pytań.

— Socjaliści?... Nie tak socjaliści zwykli postępować.

— A jak?

— Jak? — ponuro ciągnął robotnik — tak, żeby się wszystkim dostało.

— Kto nie tracił czasu, temu się i dostało. Nikomu nie broniliśmy... Ja stróżem byłem i to nikomu nie wzbraniałem... Gdybyśmy sami rabowali, a drugim nie dawali, wtedy toby była inna sprawa.

— Wtedy byście byli wogóle łajdaki.

— A teraz czem jesteśmy?

— Djabli was wiedzą, czem.

— Ano, widzisz.

— Ot, nie mamy żadnej nazwy — zakonkludował dychawiczny staruszek.

— Żadnej nazwy, ale zato z majątkiem — zauważył stróż, śliniąc skręcony papieros.

— Z jakim majątkiem?

— Mamy chleb, czegóż jeszcze więcej... U naszego pana stały jeszcze w parku jakieś białe kukły... To my ich...

— Mało z nich pożytku — przerwał ktoś.

— I myśmy tak z nimi zrobili — odezwał się parobek z lachą. — Jakeśmy swego pana wynosili, to myślimy: nigdy się chyba to nie skończy, tyle tego było... ale jak się zabrali nasi ludzie do roboty, to zabrali wszystko, oprócz kwiatków, obrazków i różnych fintifluszków.

— Nie znasz się na tem i tyle — mruknął robotnik.

— A cóż tu rozumieć? — odburknął parobek — nie miał co innego pan do roboty, to wszystkie baby wyrysowywał.

— Kukły białe były? — spytał stróż.

— Były.

— Pomyślcie, ludzie... Dożyli się takiej starości, a ciągle im w głowie tylko kukły.

— I dlatego dostaliśmy spadek — zachichotał dychawiczny staruszek.

— Kto całe życie nic nie robi, nic mu się później nie zostanie.
— Kwiatki i obrazki dostajesz. A niema co jeść.
— Baby temi obrazkami i tak przykrywają garnki.
— Do niczego innego się nie nadają.
— A także te kwiaty... Ot zrobiłem sobie z nich laskę! — powiedział parobek.
Wszyscy popatrzyli na laskę.
— Co to za drzewo? — zainteresował się stróż, biorąc do rąk laskę i uważnie ją oglądając.
— Choroba go wie... Stało takie wysokie, liście miało jak szparagi... Wyciąłem sobie i nawet bez sęczka...
— Tylko tyle dostałeś ze spadku? — zaśmiał się wesoły staruszek.
— Dobry spadek... — rozległo się kilka drwiących głosów.
— Idź, poszukaj, może kupią twą laskę.. Teraz tacy jeżdżą, co kupują każde głupstwo.
— Są, są tacy — wykrzyknął głupkowato parobek, — u nas byli i pytali się o te kukły, a myśmy już przedtem poodbijali wszystkie nosy...
— I bez nosa wezmą.
— I dobre pieniądze zapłacą.
— A u nas to same naczalstwo z Moskwy było. Szukali obrazów.. Znaleźli tylko ramy... Bardzo ładne ramy...
— Z szybami?
— E! szyby tośmy już przedtem wybili.
— No tak.. spadek... można...
Pociąg zatrzymał się na stacji Wsiadł jeszcze jeden pasażer, wysoki, chudy chłop, w starej, obdartej siermiędze. Na plecach dźwigał worek. Znać był ciężki, bo się pod nim uginał. Wszyscy, milcząc, przyglądali się przybyłemu. Ten, nie patrząc na nikogo, szukał wzrokiem miejsca na półkach, gdzieby mógł położyć worek.
— Ciężki worek, co? — zagadnął dychawiczny staruszek
— Ciężki, żeby go cholera wzięła — odparł chłop i ze złością cisnął worek na ławkę.
— Cóż wy tam macie takiego? — spytał staruszek.
— Książki... — odwarknął chłop. Zdjął z głowy wielką baranią czapę, rozczesał palcami długie włosy, rozglądając się dookoła, jakby z namysłem, czy zostać tutaj, czy też szukać gdzieindziej miejsca.
Robotnik patrzał ukradkiem na worek.
Stróż, podchwyciwszy jego spojrzenie, trącił sąsiada łokciem i spytał się niewinnym tonem:
— Wszyscy dostali?
— Kto był głupi, ten dostał — odparł zapytany rozdrażnionym tonem.
— Znaczy się, że spadek — odezwał się parobek z laską
— Czego?
— Pytam się tylko, skąd to wieziesz?
— A ot tam, z bibljoteki... — Chłop uczynił jakiś nieokreślony ruch ręką poza siebie.
Zapadło chwilowe milczenie.
— Hm... To tak źle.. Niczego więcej nie było?...
— Być to było... Tylko myśmy przyszli zapóźno, kiedy już mądrzejsi wszystko lepsze zabrali... Została się tylko sama *drjań*...
— A czego wam było najwięcej trzeba?
— Zboża szukaliśmy.
— Kukły białe były? — spytał stróż.
— Były... — opryskliwie odpowiedział chłop.
— Znaczy się, wszystko w porządku
— Wszystko przyniesie pożytek człowiekowi mądremu, głupi natomiast na niczem się nie pozna — odezwał się robotnik, który już długo zachowywał milczenie.
— Ha! kiedyś taki, to zrób z tego pożytek— wykrzyknął parobek z laską. Mówiąc to, wyciągnął z worka najgrubszą księgę, potrzymał na dłoni, jakgdyby chcąc zważyć jej ciężar, poczem pokiwał ze zdziwieniem głową i otworzył.
Wszyscy umilkli, przyglądając się parobkowi i trzymanej przezeń książce.
— Słownik an... an.. an... angielski — przeczytał — a dalej jakieś same figlasy... Masz, bracie.. Dobrze trafiłeś...

— Garnki tym przykrywać — rozległ się głos niewidzialnego pasażera z półki. — To lepsze od obrazków...
— Gdzież tam... Za ciężkie.. Dobre do ugniatania twarogów...
Chłop wsunął, milcząc, książkę do worka i nadeptując łapciami na nogi siedzących, powlókł się dalej, szukając miejsca dla siebie i swego ciężaru.
— A to mi spadkobierca — rzucił za nim, na odchodnem parobek
— Głupcowi żaden spadek nie da szczęścia— powiedział robotnik.
— Jest zato czem nakrywać garnki.
Przedział wybuchnął śmiechem.

JULJUSZ POGOŃ - ŚLIZOWSKI.

Ostatni człowiek

(Kartka pozahistoryczna.)

Stało się to nieoczekiwanie. Fatalna, straszna i katastrofalnie - tragiczna niespodzianka spotkała ludzkość, zanim ta zdążyła przygotować się na przyjęcie okropnego ciosu z dłoni niepojętego...

Wszelkie obliczenia filozofów, geologów, historyków i matematyków zawiodły. Nie doczekano się ani proroczych zjawisk w przyrodzie, ani przedwstępnych znaków astronomicznych, ani też stwierdzeniowych obliczeń.

Nie mówiąc już o tem, że kwestja międzyplanetarnej komunikacji była nadal tylko w fantazji poetów nauki i w teorji techników nauki, lecz nawet wynalazczość globalna, że tak powiem, nie posunęła się wiele naprzód. To samo dotyczyło zresztą rozwoju polityki, filozofji, sportu i sztuk pięknych.

Bardzo mała różnica zaszła pod powyższemi względami, między rokiem 1930 a 1935, ery chrześcijańskiej.

Różnica bardzo mała, to znaczy: Przez Atlantyk i Ocean Spokojny, normalny ruch lotniczy pasażersko - pocztowy był rzeczą powszednią, któryś z Anglików ustanowił nowy rekord szybkości auta (350 klm. na godzinę bez zatrzymania się), nagrodę Nobla na 1934 rok przyznano Trockiemu za dzieło „Wojna i ja", szesnastoletnia panna Erua Valetines rzuciła dyskiem znacznie dalej aniżeli Konopacka, w Stanie Ohio zbudowano drapacz chmur dwa razy wyższy od wieży Eiffla, granice „wielkiej Warszawy" sięgnęły po Radość, Piastów i Zegrze, prezesem zrealizowanej „Paneuropy" został... Hittler, Niemiec, w polskich twierdzach siedziało 444-ech b. posłów, Dziesiąta Muza, zpowrotem oniemiawszy, przeszła na taśmę „Rentgoenol" (t. zn. film uzęwnętrzniony"), której wyświetlanie dawało przezroczystość osób i przedmiotów, literatura piękna natomiast rozgadała się i rozgrała na płytach, bowiem książek drukować poniechano, autorzy zaś „nagrywali" swoje utwory odrazu pod dyktando...

Te byłyby mniejwięcej wyniki, wyczyny i postępy kultury w ciągu ostatniego pięciolecia życia Ziemców.

Wymieniłem zresztą niektóre, mniej lub więcej znamienne. Tak zatem stały sprawy „arcyludzkie", kiedy-to Człowiek nagwałt usiłował zbliżyć się ku Bogu, oddalając się równocześnie od... samego siebie, to jest od swego istotnego powołania i swoich możliwości tylko... ludzkich.

Ludzkość zaczęła mierzyć siły na zamiary i — padła. Padła niespodziewanie szybko.

Nadmienienia godnem będzie jeszcze kwestja amoralności, której granice przekroczono i zaczęto oficjalnie hołdować wyuzdanej rozpuście i przestępczości. Nigdy przysłowie: homo homini lupus est — nie było chyba aktualniejsze i bardziej prawdziwe, jak pod koniec 1935 roku.

Fatalne w skutki i niechybne posunięcia ku przepaści uczyniła Ludzkość... i — stało się.

Bóg postanowił poraz wtóry odrodzić Ziemię, przez karę, wymierzoną jej mieszkańcom. Drżę cały, gdy wspominam tę straszliwą historję — na gruzach mojego ziemskiego szczęścia i mojej globalnej przeszłości...

Było więc to tak.

W sam dzień moich imienin, a więc 28 września (1935), ja, t. j. Wacław Aliński, urzędnik do szczególnych zleceń w M. S. Z. i mój towarzysz, pilot - mechanik, Janusz Wecser — poleciliśmy, z ramienia Rządu do jednej z wysepek na Atlantyku, celem zbadania jej położenia, aury, flory, fauny i bogactw mineralnych. Wyspa ta została łaskawie przyznana Polsce, przez Federację Państw, jako... kolonja — i otrzymała nazwę „Polonica".

W imię Boże ruszyliśmy...

Nabytek okazał się maleńką, pustynną i samotną wysepką.

Była to więc ironja i jawne kpiny. Samolot pozostawiliśmy w miejscu lądowania i wybraliśmy się na zwiady.

Z sarkazmem na ustach przemierzaliśmy bezwartościowe i beznadziejne przestrzenie piasku, spotykając gdzieniegdzie nasyp, wyrwisko i porozrzucane muszle. Pozatem pustynia i kompletna samotnia.

Dopiero pod wieczór (ach, te długie, jasne i ciche wieczory!) spostrzegliśmy jakieś błyszczące ciałko. Schyliliśmy się i — poznaliśmy w czerwono-żółtej grudce — złoto. Zaczęliśmy grzebać w piasku, znajdując coraz to nowe i nowe okruchy cennego metalu.

Po dwudniowej pracy, przy pomocy bagnetów, byliśmy posiadaczami woreczka złota, conajmniej miljonowej wartości. Tak więc staliśmy się odkrywcami kopalni złota, a skarb naszego kraju niespodziewanie zyskał być może bezcenny majątek, nieopatrznie rzucony Polsce „w drodze łaski".



Z dumą i niepohamowaną radością postanowiłem natychmiast wracać, aby przywieść do kraju radosną nowinę i mały jej zadatek w postaci pełnego woreczka.

Z ulgą i jaśniejszą wiarą w lepsze jutro moich rodaków położyliśmy się w cieniu skrzydeł stalowego ptaka.

Cicha, pachnąca oceanem, księżycowa noc upoiła nas i zapadliśmy w głęboki sen.

Kiedy się ocknąłem, był ranek. Wecser klęczał, pochylony nade mną. Przywołałem przytomność myśli i nagle oczy moje szeroko się rozwarły przerażeniem i zdumieniem. Węcser klęczał na jednem kolanie i w dłoni, tuż przy mojem sercu, trzymał bagnet. Pochwyciłem raptownie jego ramię i — struchlałem. Ręka pilota była martwa i jak głaz twarda i nieruchoma.

Porwałem się na równe nogi i krzyknąłem okropnie.

Nawet nie drgnął. Dotknąłem jego twarzy, włosów... i skonstatowałem formalną przemianę mego towarzysza w kamienny posąg.

Na chwilę myśli moje pomięszały się. Przestałem wierzyć swoim oczom i w najwyższem zdumieniu i trwodze cofnąłem się.

Naraz wydało mi się, że oczy posągu wolno za mną zwracają się i płynie z nich spojrzenie żywe i pełne tragizmu.

Sprawdziłem rękami swoją postać. Byłem żywy i normalny, tylko uczułem w swej psychice dziwną metamorfozę. Opanowała mną jakaś lekkość ducha i poczucie długowieczności.

Przeszedłem na przeciwną stronę i utwaliłem się w przekonaniu, że Wecser miał żywe i myślące oczy.

Dopiero teraz, straszliwa trwoga wybuchła we mnie z nieposkromianą mocą. Czułem jak mi się włosy jeżą i wali serce.

Dopadłem samolotu i puściłem go w ruch.

Mimowoli obejrzałem się jeszcze raz. Okropne, beznadziejne spojrzenie żywych oczu Wecsera żegnało mię na zawsze.

Nad dziwną zagadką zastanowiłem się dopiero w drodze, gdym z nieprawdopodobną chyżością leciał ku brzegom Europy.

W pewnej chwili, przypomniałem sobie o pozostawionym wczoraj na piasku woreczku złota. Był ukryty w samolocie. Pojąłem.

Wecser postanowił mię zabić i uciec ze złotym żwirem.

W ostatnim momencie jego strasznego czynu przeszkodziła mu nagła, kamienna śmierć.

W niespełna dwanaście godzin szatańskiego lotu obniżałem się na warszawskie lotnisko. Nikt mię nie spotykał i nie powitał. Tu i owdzie stały samoloty w zastanawiającym nieładzie i obok swych maszyn, w dziwacznych pozach, nieruchomi piloci.

Opadłem. Wyskoczyłem na ziemię i... zastałem znowu kamienną śmierć.

Z okropnem przeczuciem wybiegłem z pola i wpadłem w pierwszą ulicę. Zapadał już mrok.

Jezus, Marja! Wszędzie ta sama, niepojęta śmierć kamienna.

Bezruch i doprowadzająca do obłędu cisza i pustka.

Jakgdybym się znalazł w jakiem piekielnie fantastycznem mauzoleum...

Okropność! Więc nie jakaś nieznana choroba, więc nie objaw natury a poprostu cud, ręka Boga, koniec świata!?...

Dlaczegoż ja zatem istnieję i na tę okrutną śmierć ludzkości patrzeć muszę? Jak furjat pędziłem ku gmachowi ministerstwa, a potem skręciłem nagle ku swemu domowi.

Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że mam żonę, najdroższą, najukochańszą Marję. Czyżby i ona?... Boże... Boże!!

Biegłem środkiem ulic, wymijając znieruchomiałe tramwaje, dorożki, auta i omnibusy, pełne kamiennych pasażerów.

O — jakież straszne wrażenie!

Przeraźliwa cisza wśród wymownych, kamiennych gestów i pustka pośród tłumów ludzi i zwierząt znieruchomiałych.

Największą jednak grozą były oczy, u wszystkich żywe i myślące, jakie odprowadzały mię spojrzeniami, u jednych przerażonemi, u innych pełnemi przekleństwa, wyrzutów, skargi, zawiści, rozpaczy, bólu i zdumienia — mnie, jedynego żywego, ostatniego człowieka!

Dziwne posągi! Widocznie skamienieli wszyscy nagle, gdyż oto jakiś urzędnik, z teczką jeszcze, nie zdążył postawić prawej stopy na

Uroczystość w Polskich Zakładach Philipsa



Prezes Rady Zarządz. Polskich zakładów Philips, gen. dyr. Koncernu, p. dr. A. Philips.

Dnia 2 b. m. odbyła się na terenach fabrycznych Polskich Zakładów Philipsa w Warszawie, przy ul. Karolkowej, uroczystość poświęcenia pierwszej w Polsce huty szklanej, dla produkcji baloników do lamp oświetleniowych i radjowych.

Poświęcenia dokonał J. E. Biskup Polowy Ks. Dr. Gall w obecności Pana Prezydenta, Pana Prof. Ign. Mościckiego, Pana Ministra Przemysłu i Handlu, Inż. Kwiatkowskiego, Pana Ministra Robót Publicznych Matakiewicza, Pana Prezydenta Miasta Słomińskiego oraz przedstawicieli wszystkich ministerstw.

W przemówieniach, które kolejno wygłosili pp. gen. dyr. koncernu, dr. A. Philips, nacz. dyr. Zakładów Philipsa w Polsce F. Walterscheid i dyr. techn. Custers zobrazowano rozwój przedsiębiorstwa od chwili jego powstania, t. j. od r. 1922.

W roku tym, założył koncern Philipsa, wraz z grupą polskich finansistów reprezentowaną przez znanych przemysłowców p. Edwarda, Ferdynanda i ś. p. Jana Borkowskich, małą wytwórnię, pod firmą „Polsko - Holenderska Fabryka Lampek Elektrycznych", przy ul. Żelaznej, której produkcja objęła na razie montowanie żarówek, z półfabrykatów holenderskich.

W r. 1923 wystawiono pierwszą grupę własnych budynków fabrycznych, przy ul. Karolkowej. O dalszym rozwoju tej placówki świadczą chociażby nast. cyfry:

Liczba robotników, zatrudnionych w 1922 r. wynosiła 68; liczba robotników, zatrudnionych w 1930 r. wynosiła 353 liczba urzędników, zatrudnionych w 1922 r. wynosiła 3; liczba urzędników, zatrudnionych w 1930 r. wynosiła 373.

Kapitał zakładowy wynosił w 1922 r. Zł. 100.000.—, w 1928 r. Zł. 1.000.000.—, w 1930 r. Zł. 5.000.000.—. Tereny fabryczne powiększono ostatnio z 14.500 m. kw. do 30.500 m. kw., przyczem powierzchnia użyteczna zabudowań fabrycznych wynosi 14.000 m. kw.

Przed niedawnym czasem zakupiono tereny przy ul. Dworskiej, na których stanąć mają domy dla pracowników Polskich Zakładów Philips.

W r. 1930 zbudowano pierwszą w Polsce hutę szkła, do wyrobu baloników szklanych dla celów przemysłu żarówkowego i radjowego, o powierzchni użytecznej 2.150 m. kw.

Huta zdolna jest wyprodukować przy 8-godzinnym dniu pracy ok. 8 miljonów baloników rocznie i to zarówno do lamp oświetleniowych jak i radjowych. Godny specjalnego podkreślenia jest fakt, że ta produkcja może pokryć całkowicie zapotrzebowanie kraju w tej dziedzinie przemysłu.

Wzniesienie i uruchomienie tej huty całkowicie usamodzielnia produkcję żarówek, wszelkiego rodzaju lamp radjowych, armatur oświetleniowych, rur do światła jarzeniowego (neon) etc.

Nie od rzeczy będzie wreszcie przypomnieć przy sposobności o tem, jak bardzo przyczyniło się to największe polskie przedsiębiorstwo radjowe do spopularyzowania radja w naszym kraju. Można bez przesady powiedzieć, że Polskim Zakładom Philips w dużej mierze zawdzięczać należy wspaniały rozwój radjofonji polskiej.

---

chodniku... oto dorożkarzowi nieruchomiała ręka, gdy bat miał dotknąć końskiego grzbietu, oto szofer najeżdżający śmiertelnie przerażoną ofiarę, oto żyd wydający fałszywą monetę wieśniakowi...

Biegłem i biegłem wśród pokaranego okrutnie ludu... przez niesamowite ulice...

I wszystkie postacie porażone były przeważnie w chwili gestu, świadczącego o ludzkiej amoralności.

Oto grupa gapiów przed wystawą, a w ich tłumie jakiś wyrostek sięga do torebki damskiej, mały gazeciarz wręcza staruszkowi stare czasopismo, w bramie pokryjomu pije wódkę żebrak, z budki z papierosami wychyla się chytrze twarz młodej dziewczyny, której palca ujmują zapałkę z pudełka, a do sprzedaży...

Zwolniłem biegu, i jakimś wewnętrznym wiedziony nakazem, zacząłem coraz natarczywiej, coraz bezczelniej i coraz uważniej obserwować wieczne pomniki ludzkiej nędzy... ścigany okropnemi spojrzeniami żywych oczów martwych postaci...

Tę dantejską wędrówkę odbywałem długo, bardzo długo — aż przypadkowo trafiłem przed bramę swojego domu. Odżyła moja pamięć własnych spraw i zadrżałem. Żona!

Wejście przez bramę zagrodził mi stróż z miotłą w dłoni. Obok widzącego mię głazu ze strasznem uczuciem przecisnąłem się.

Wydało mi się, że stary, poczciwy Walenty pozdrawia mię, jak zwykle; przystanąłem, otworzyłem drzwi swego mieszkania. Szarpnąłem. Wwionął mię głęboki mrok.

Tuż pod drzwiami saloniku naszego, z przyłożonem do drzwi uchem, stała kamienna nasza służąca. Pchnąłem drzwi do wewnątrz... Upadający posąg pokojówki napełnił łoskotem mieszkanie. A potem znów cisza i ciemność.

— Maja! — rozległ się jak gdyby nie mój, zduszony i chrapliwy głos.

Echo mi tylko odpowiedziało.

Bałem się zapalić światła

Lękałem się ujrzeć kamienną postać Maji... Uczyniłem parę kroków w głąb pokoju i zacząłem macać sprzęty. Zbliżyłem się poomacku do otomany.

Prąd strachu przebiegł moje ciało. Dotknąłem twarzy swej żony. Drżącemi palcami odcyfrowywałem ukochane rysy.

W gorączce zacząłem błądzić dłońmi po całej postaci...

Zesunąłem rękę po jej kolanie i natrafiłem czyjąś głowę.

W obłędnym ruchu odskoczyłem w tył i przekręciłem kurek elektryczny. Potok światła zalał postać mojej żony i obejmującą jej nogi postać jakiegoś obcego mi mężczyzny....

— — — — — — — — — — — — — —

Tułam się do tej chwili po wymarłej Ziemi, zwiedzając miasta i kraje — i czytam wszędzie w ludzkich pomnikach tę samą księgę człowieczej ohydy.

Żywe oczy kamieni prześladują mię do tej pory strasznem, wiecznem spojrzeniem.

A przede mną ciągle idzie ktoś nieznany i słyszę głos kobiecy, który mię woła i woła...

Być może, iż gdy skończę karną włóczęgę wśród globalnego cmentarzyska i w popiół obrócą się te miljony posągów, danem mi będzie spotkać tę moją Ewę, z którą pójdziemy ku nowemu pokoleniu Ludzkości, może już inaczej...

DR. KAZIMIERZ RAKOWSKI.

Wywiad z przed 4000 lat

O MAŁŻEŃSTWIE I KOBIECIE.

Czem były dla narodów semickich ich księgi święte, począwszy od Mojżesza a skończywszy na prorokach, — tem dla pierwotnych szczepów aryjskich były Wedy, święte księgi, napisane w sanskrycie, oraz ich skrót encyklopedyczny, księgi Manu.

Księgi te, powstały później niż Wedy, w każdym bądź razie około 4 tysięcy lat temu, są one przeto jedną z najszacowniejszych spuścizn starożytności, — tem szacowniejszą dla narodów słowiańskich, że szczepy aryjskie i ich język sanskryt były praojcami narodów i języków indogermańsko - słowiańskich.

Mając sposobność szczegółowego zbadania tych aryjskich Ksiąg Mądrości i Wiedzy Tajemnej, noszących miano prawodawcy Manu (Manava Dharma - Sastra) *) — w księgach tych przeprowadziliśmy swego rodzaju wywiad z mędrcem Manu, na temat wiecznie aktualny, pożycia mężczyzny z kobietą.

Z jakiemi kobietami należy się żenić?

Jakie kandydatki należy wybierać na żony? — oto pytanie przed którem niejednemu mędrcowi robiło by się gorąco. Mędrzec aryjski odpowiada bez wahania:

*Niechaj się nikt nie żeni z dziewicą mającą włosy rude,**) lub posiadającą jakieś narośle,*

Niechaj sobie wybierze kobietę dobrze zbudowaną, o mile brzmiącem imieniu, o ruchach zgrabnych, łabędzia, lub młodego słonia, o skórze, pokrytej lekkim meszkiem, o delikatnych włosach, drobnych zębach i pełnych harmonji wszystkich częściach ciała. (III. 9.).

Dźwięk imienia nadanego kobiecie winien być łatwy do wymówienia, powinno ono być słodkiem, jasnem, miłem, łaskawem. Niechaj kończy się długiemi samogłoskami i podobne niechaj ono będzie do słów błogosławieństwa. (II. 23.).

Rady powyższe nie są niedorzeczne. Nacechowane są one niewątpliwie troską, zarówno o szczęście rodzinne jak i o zdrowie młodego pokolenia. Współczesne towarzystwa eugeniczne zapewne niewiele by mogły dodać lub ująć z tych przepisów, uwzględniwszy oczywiście zmianę warunków epoki. Pytajmy dalej.

Jak zabezpieczyć szczęście domowe w pożyciu małżeńskiem?

Odpowiedź na to pytanie mędrzec Manu ma gotową. Od czterech tysięcy lat powtarza on narodom aryjskim co następuje:

Należy przedewszystkiem niewiasty zabezpieczyć przed uleganiem złym skłonnościom, choćby w rzeczach najbłahszych. Gdy się bowiem niewiast bacznie nie pilnuje, sprowadzają one nieszczęście na dwie rodziny. (IX. 5.).

Nikt jednak nie jest w stanie utrzymać kobiet w rygorach obowiązku przez zastosowanie środków gwałtownych. Z wszelką zaś łatwością da się to czynić przy pomocy następujących sposobów: (IX. 10.).

Niechaj mąż przeznaczy swej żonie czuwanie nad dochodami i wydatkami domowemi, nad utrzymaniem domu w porządku, wykonaniem obowiązków małżeńskich (wobec męża), przygotowaniem pożywienia i utrzymaniem ładu w gospodarstwie kuchennem. (IX. 11.).

Jak z poprzednich strof widać, mędrcy aryjscy byli bardzo doświadczeni i znali naturę kobiecą. Do nas zaś współczesnych należy ocena, o ile natura ta przez cztery tysiące lat uległa zmianie.

Kobiety — boginki.

Rola kobiety, w pojęciach ustawodawstwa Manu, sprowadza się do jednego zdania: uszczęśliwić mężczyzn, być w jego troskach promieniem słońca, w jego szczęściu wiernem echem. Wzamian mężczyzna darzyć ją winien opieką i nietylko opieką. Znajdujemy liczne ślady wręcz kultu kobiety, jej wdzięków, jej zalet, jej piękności, jej czystości. Mędrzec porównywuje takie kobiety wręcz do bogiń. Manu mówi:

Dla niewiast nie przepisano, ani specjalnego składania ofiar, ani praktyk nabożnych, ani postów. Niechaj niewiasta zamężna tylko kocha i szanuje swego męża a będzie uczczona w niebie. (V. 155.).

Niewiasty oddane mężom swym i dzieciom, — mające zawsze pogodne usposobienie, — postępowaniem swojem zasługujące na szacunek i dbające o honor swego domu, oto są w pełnym znaczeniu tego słowa boginie szczęścia. Niema pomiędzy niemi a boginkami żadnej różnicy.

Idźmy jednak dalej. Dotknijmy śmiało kwestji najdelikatniejszej — kwestji wierności w małżeństwie.

Co myśli mędrzec aryjski o płochych niewiastach?

Małżeństwo w oczach prawodawcy aryjskiego jest instytucją, która ma na celu stworzenie najlepszych warunków dla rozmnażania się jego narodu, w pełnej jego indywidualności, bez domieszek obcej krwi. Kodeks Manu używa wszelkich środków, aby uchronić swój szczep od łączenia się z „barbarzyńcami", — aby zachować czystość rasy aryjskiej. Dlatego też żąda od kobiety bezwzględnego dochowania wiary małżeńskiej. Oto słowa Manu:

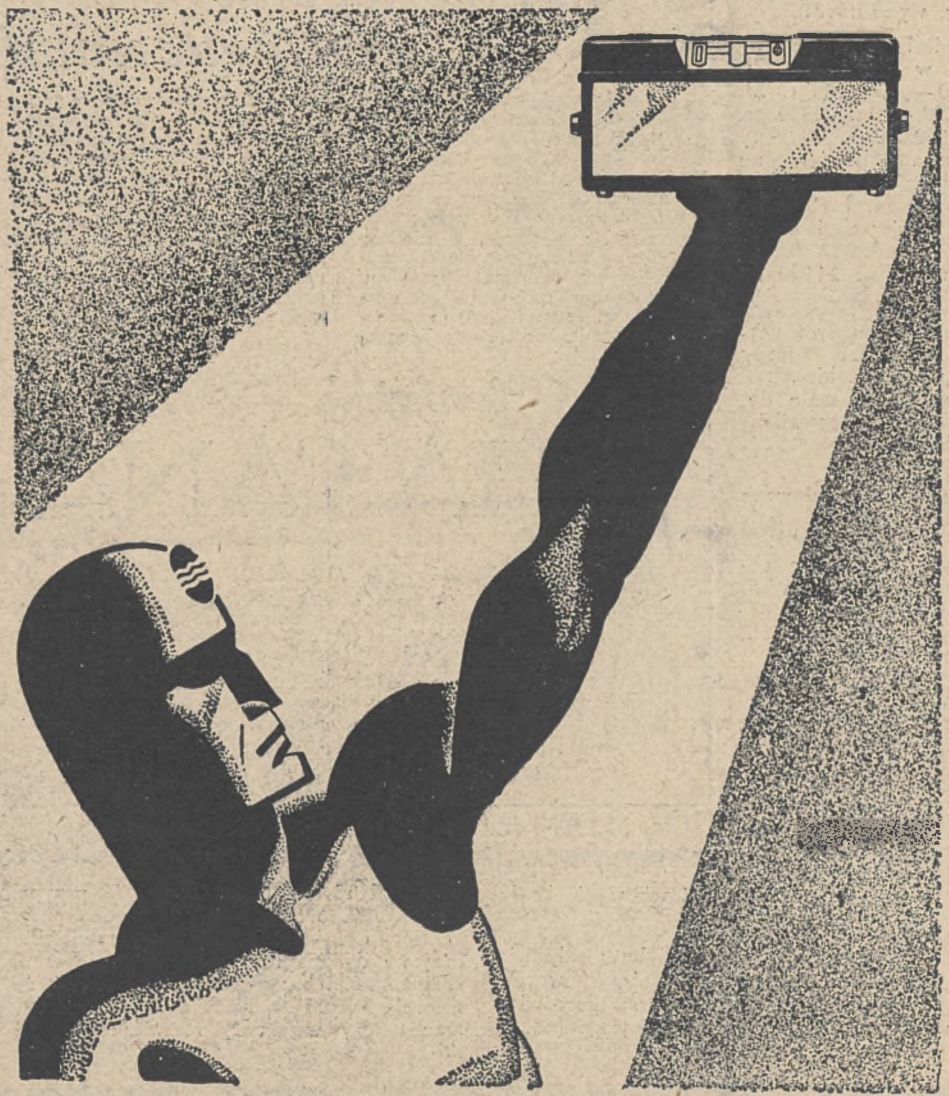
Picie napojów odurzających, przebywanie w płochem towarzystwie, zaniedbywanie małżonka, bieganie po kumoszkach, oddawanie się spoczynkowi w godzinach pracy, uczęszczanie do domu obcego człowieka, — oto sześć rodzajów czynów, które kobiecie zamężnej przynoszą ujmę (IX. 13.).

Tego rodzaju kobiety nie zwracają nawet uwagi na piękność fizyczną (mężczyzny), obojętnym jest im jego wiek, wszystko im jedno, czy ich kochanek jest przystojny, czy brzydki, byleby był mężczyzną, to im wystarcza (do zabawy). (IX. 14.).

---

*) Loiscleur - Deslongschamps. Loins de Manou. Paris. Garnier.

**) Włosy rude są tu podane jako cecha kobiet rasy semickiej, przed którą prawodawstwo aryjskie pragnęło odgrodzić swe szczepy. *choowitą, pozbawioną zupełnie owłosienia, nieznośną przez swe gadulstwo, albo cierpiącą na oczy. (III. 8.).*



Wskutek swego pociągu do mężczyzn, zmienności swego usposobienia i braku wszelkiego uczucia, którym się odznaczają, — kobiety takie, choćby najostrzej były pilnowane, potrafią zdradzić swoich małżonków. (IX. 15.).

Kobiety tu zapytają: A wierność męska? niestety księgi Mądrości nie dadzą im zadośćuczynienia. Wprawdzie zaleca Manu i mężczyznom wierność, widzi ich płochość, ale że nadewszystko chodzi mu o zachowanie instytucji małżeństwa, jako podstawy organizacji społecznej, — a tego warunkiem jest głównym, jeśli nie jedynem, wierność kobiety, — więc dla mężczyzn jest wyrozumiałym, Manu mówi:

Choćby postępowanie małżonka było nagannem, choćby on oddawał się miłostkom i był pozbawiony zalet, niewiasta cnotliwa powinna go szanować jak Boga. (V. 154.).

Mądry Manu mówi jednak również:

Dziewica w wieku odpowiednim do zamążpójścia niechaj raczej do śmierci pozostanie niezamężną, niżby miała być przez ojca swego oddana nicponiowi za małżonkę. (IX. 89.).

A kwestja aktualna: rozwody?

Kwestja ta była w społeczeństwach aryjskich aktualną i przed czterema tysiącami lat. Prawodawca przepisuje wyraźnie, w jakich wypadkach wolno małżonkowi porzucić żonę. Wszystkie wyliczone wypadki mają na celu osiągnięcie licznego i zdrowego potomstwa wskutek takiej zmiany. Jedyny jeden wypadek charakterystyczny ma na celu dobro samego męża.

Oto co nam powiada Manu:

Małżonkę bezpłodną winien mąż oddalić w ósmym roku pożycia. Taka, której całe potomstwo wymiera — w dziesiątym. Taką, która rodzi same córki — w jedenastym. Taką zaś, której język jest jadowity, — natychmiast! (IX. 81.).

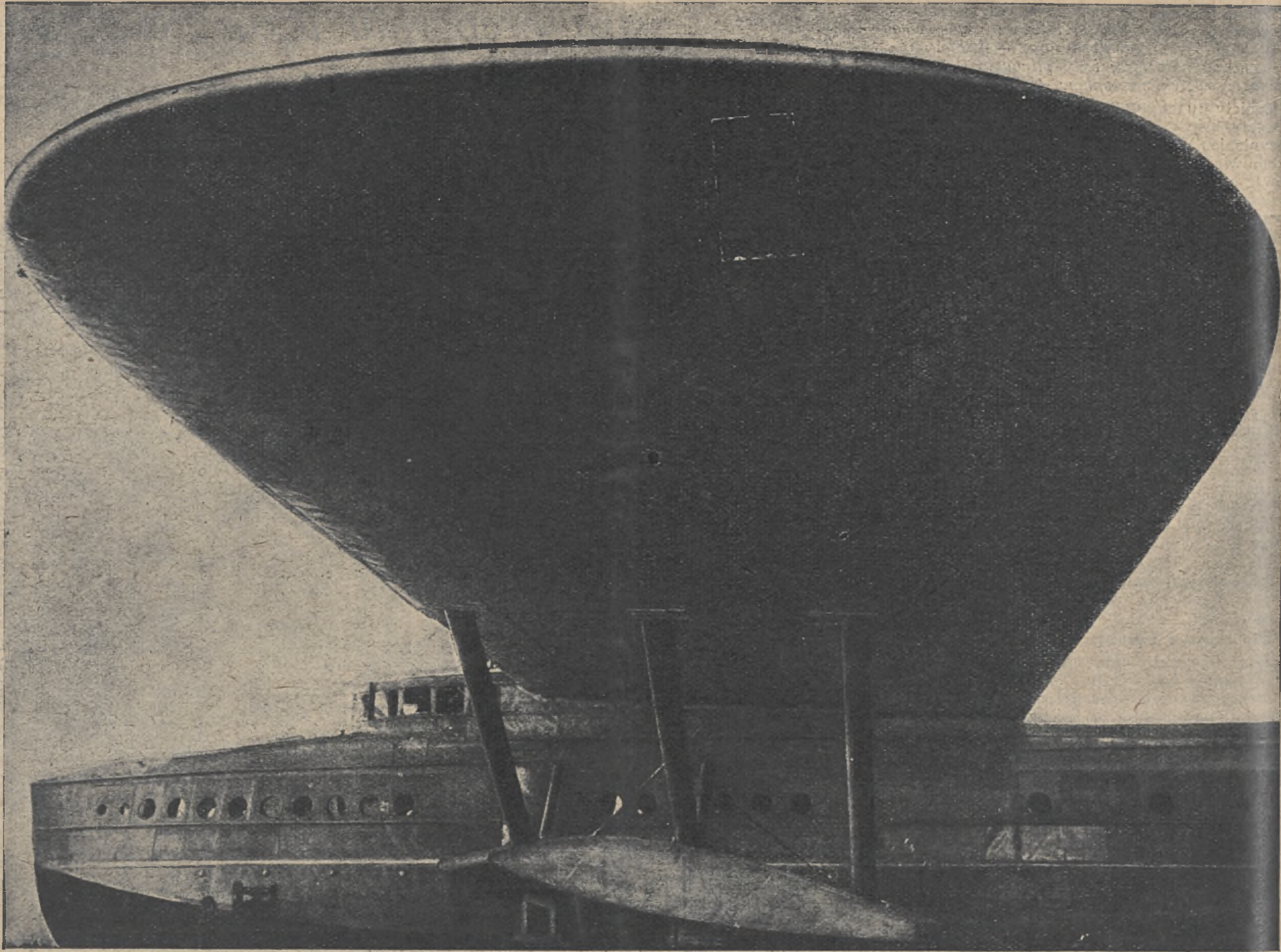
Małżonki dobrej i cnotliwej, choćby była chora, nie należy jednak zastąpić inną, inaczej jak za jej zgodą, — i nigdy jej nie traktując lekceważąco. (IX. 82.).

Echa obchodu listopadowego



W związku z uroczystym obchodem stuletniej rocznicy powstania listopadowego, teatry warszawskie wystawiły cały szereg sztuk, mających związek z uroczystością. Teatr Narodowy wystawił fragment „Kordjana" Słowackiego z Osterwą w tytułowej roli.

(fot. Malarski)



Czterdzieści lat wysiłków

1890—1910—1930

Dnia 9 listopada 1890 r. niejaki Clement Ader dokonał pierwszego lotu. Aparat jego, „Eole", zaopatrzony w silnik parowy i w skrzydła o 14 m. rozpiętości, był zatem prototypem potężnych olbrzymów współczesnych i skromniejszych, lecz jakże doskonałych awjonetek. I proszę sobie tylko uprzytomnić, iż choć pierwszy wyczyn Adera ograniczył się do przelecenia przestrzeni... 50 m., fakt ten wystarczył, aby szereg konstruktorów poszedł za mało napozór zachęcającym przykładem, oto bowiem następny wzlot na „Eole II" dał w wyniku 100 m i zakończony został wypadkiem rozbicia aparatu, podobnie zresztą jak wzlot, dokonany w 7 lat później na „Avion III", którego szczątki zdobią dziś muzeum „des Arts et Metiers" w Paryżu. Ciekawszem natomiast jest to, iż Ader nakarmiony został niewdzięcznością za swoje wysiłki, ministerstwo francuskie bowiem zlekceważyło sobie człowieka, który wszak poświęcił sprawie nietylko najlepsze swe lata, lecz również wszelkie zasoby materjalne i wspaniałomyślnie pozwoliło mu sprzedać patent na zagranicę. Clement Ader nie przeniósł tego ciosu i spaliwszy wszystkie swe plany i modele, dokonał żywota w nędzy.

Następnego wzlotu dokonano dopiero w r. 1901. Aparat Santos-Dumonta (50 K. P.) przeleciał zrazu 10 m., w kilka dni później 50 m., aż wreszcie w miesiąc później wzbił się na wysokość 6 m. i w 21 sek. 2/5 przeleciał przestrzeń 220 m.

W dwa lata później Orville i Wilbur Wright'owie utrzymali się w powietrzu przez 52 sek. i przelecieli przestrzeń 260 m. Po paru latach cierpliwych wysiłków bracia osiągnęli rekord 42 klm.

Rok 1910 był niezmiernie płodny w rekordy światowe. Plon ten wyrażał się w następujących cyfrach:

Wysokość: G. Legagneux (Francja) — 3.100 m. Chyżość — A. Leblanc (Francja — 100 km. 756 m. na godzinę. Dystans: Tabuteau (Francja) — 584 km. 745 m. Długotrwałość: H. Farman (Francja) — 8 godz. 12 m. 47 s. 2/5.

W tym samym roku notujemy wyczyn L. Pauhlan'a, zdobywcy nagrody Daily Mail'u za przelot z Londynu do Manchester'u w czasie krótszym od 24 godzin. (Dystans ten w samej rzeczy został pokryty w 4 godz. 12 m.). Jako drugi bohater przestworzy został zapisany A. Leblanc za lot raid'owy na przestrzeni 805 klm w 12 goz. 1 min. 1 sek. (średnia chyżość 66 klm. 900 m. na godzinę).

W tym samym roku Amerykanin — Moisant przelatuje z Paryża do Douvre'u (z lądowaniem w Amiens i w Calais). W miesiąc później Geo Chavez przeleciał nad Alpami, wznosząc się na wysokość 1500 m. (wyczyn ten został zakończony katastrofą w chwili lądowania). I znów wreszcie po miesiącu notujemy rekordowy lot Holendra — Wynmalena, który z pasażerem przebył dystans Paryż—Bruksella i z powrotem w czasie 27 godz. 50 m. 28 sek. Rekord ten został wkrótce pobity przez Breguet'a, który odbył lot z 6-a pasażerami.

A w dwadzieścia lat później...

W r. 1930 notujemy następujące rekordy: Apollo Soucek (St. Zj.) — 13.157 m. wysokości; Orlebar (Ang.) — 575 klm. 700 m. chyżości na godzinę; Costes i Bellonte (Fr.) — 7.905 klm. 140 w prostej linji; Maddalena i Ceccioni (It.) — 8.188 klm. 800 raid'owych; Maddale-



Olbrzymi kadłub Dorniera przytłacza swą masą filigranowego Eola z r. 1890 (u góry).

Prototyp aeroplanu — Eole, na którym po raz pierwszy Clement Ader dokonał w r. 1890 wzlotu na przestrzeni 50 metrów (u dołu).

na i Ciccioni 67 godz. 13 m. jako długotrwałość lotu (rekord ten należy wprawdzie zapisać na dobro innej pary Italczyków — Boussoutrot i Rossi, którzy nieco później utrzymali się w powietrzu w ciągu 67 godzin 32 min. 20 sek., lecz stosownie do przepisów Międz. Federacji Lotniczej pobicie rekordu osiągnięte jest wówczas, gdy różnica czasu wynosi nie mniej 1 godziny).

Co zapiszemy za dwadzieścia lat? Trudno to przewidzieć, zwłaszcza, że postęp w dziedzinie lotnictwa jest coraz szybszy.

A gdy piszę te słowa nasuwa mi się mimowoli refleksja znakomitego pisarza naszego, Zygmunta Bartkiewicza, wypowiedziana pod świeżem wrażeniem akrobatycznych lotów Pegoud'a w Warszawie. Oto rozeszły się tłumy, które ze wszech stron miasta ściągnęły na pole Mokotowskie, aby podziwiać „koziołki" śmiałka. Zmrok zaszedł. Ucichły owacje. I jeno tam, pod murem, umiera „strzęp ludzkiej postaci" — z głodu. A stróż domu, podnosząc nieboraka i wlokąc go do izby, wzdycha:

— I cóż komu z tego po niebie latania, kiej ludzie na ziemi mrą z głodu? Cóż, ta, komu z rozumu, kiedy serca zbraknie na świecie..."

O, postępie!... Dla ciebie wszak w nędzy umierał Clement Ader i dla ciebie tysiące śmiałych zdobywców przestworzy zginęło śmiercią lotnicza, pozostawiając po sobie „strzępy ludzkie" lub tylko... wspomnienie. *Wal.*

Z teki anegdot

Sławny aktor, Żółkowski, odznaczał się ciętym dowcipem i ironją, przed którą nie mógł się ustrzec nawet wielki książe Konstanty. Otóż zdarzył się wypadek, że koń, po ukazaniu się na scenie, zachował się niedość przyzwoicie, pozostawiając po sobie ślad swej obecności. Żółkowski w tej chwili zdjął z głowy kapelusz i zakrywając odpowiednie miejsce, zawołał:

— Najjaśniejszy Pan tego zabrania. Była to aluzja do ostatnich szykan Konstantego, czynionych w imieniu cesarza. Konstanty, za światą ironję Żółkowskiego, skazał go na banicję z ziemi warszawskiej. I cóż robi Żółkowski. Oto na drugi dzień stanął na dziedzińcu belwederskim, nawprost okien gabinetu wielkiego księcia, pogwizdując wesoło. Konstanty, ujrzawszy Żółkowskiego, wściekły za jego niesubordynację, kazał go wezwać do pałacu. Na to Żółkowski:

— Niemam prawa się stąd ruszyć, gdyż noga moja nie może postać na ziemi warszawskiej. Okazało się, że Żółkowski stał nogami na woreczku z ziemią, ukopaną z poza powiatu warszawskiego.

Oczywiście, wielkiemu księciu spodobał się ogromnie koncept swego ulubieńca, któremu natychmiast cofnął dekret o banicji.

ZAPISUJCIE SIĘ DO L. O. P. P.

Zimową porą przy kominku...



Głęboka bruzda śnieżna. (fot. Wieczorek)

Zima... Wszak nie inaczej „stoi" na kalendarzu.

Zima. Czuję to chyba jeszcze dlatego, że zadano mi pewne zimowe „pensum" — zilustrowania (szyż gwoli aktualności?!) przepięknych, do prawdy, zimowych fotografij.

Lecz łatwiej, dalibóg, zadysponować, niźli spełnić podobne polecenie.

Po pierwsze — szukam zimy. Śnieg pono przeszedł ostatnimi laty do tradycyj. Przynajmniej w wielkiem mieście. Może spadnie jutro — i wnet się zamieni w szare błocko.

A powtóre, gdyby nawet, jak pisał ongiś niezapomniany twórca miłych piosenek — El (Kazimierz Laskowski), *„mróz począł pisać na mem okienku srebrne głoski"*, ludziska tak się zmienili, iż nie porwałbym ich choćby najpękniejszemi rymami — ani o srebrzystych sosnach, olchach i topolach, ani o wysrebrzanych pasyjkach, płaczących na wioskowym cmentarzu — słowem o niczem co dawniej w literaturze i w życiu stanowiło urok cudnej zastawy zimowej.

Nie wskórałbym więcej, gdybym w dźwięczne struny liry uderzył i zanucił tęskną dumkę wygnańczą Zaleskiego lub innego z jego współczesnych — dumkę o chłodach i zawiejach, *„które na koniec Bóg chowa: mgła niby zwewnątrz — mroźna — niespokojna; czasy nijakie — ni pokój — ni wojna. A źre — jak Wiedźma Morowa"*.

Inne dziś czasy — inna zima. A choć chłód nie doskwiera, chodzą ludziska, poważnie i statecznie, rozmyślając o codziennych swych troskach.

Jeśli więc koniecznie mam pisać o zimie, nie pozostaje mi innego wyboru, jak zahaczyć o stare dykteryjki — na wesoło lub zachęcić czytelników do aktualnego (?) tematu o sportach i zabawach na śniegu i na lodzie.

Pierwszy z tych tematów więcej mi odpowiada, drugi — komu innemu pozostawiam.

*

Że zimno więc ongiś bywało w Polsce, świadczą o tem chociażby zabytki budownictwa — a w nich ogromne kominy, przy których snuto w długie zimowe wieczory „kominkowe gawędy"

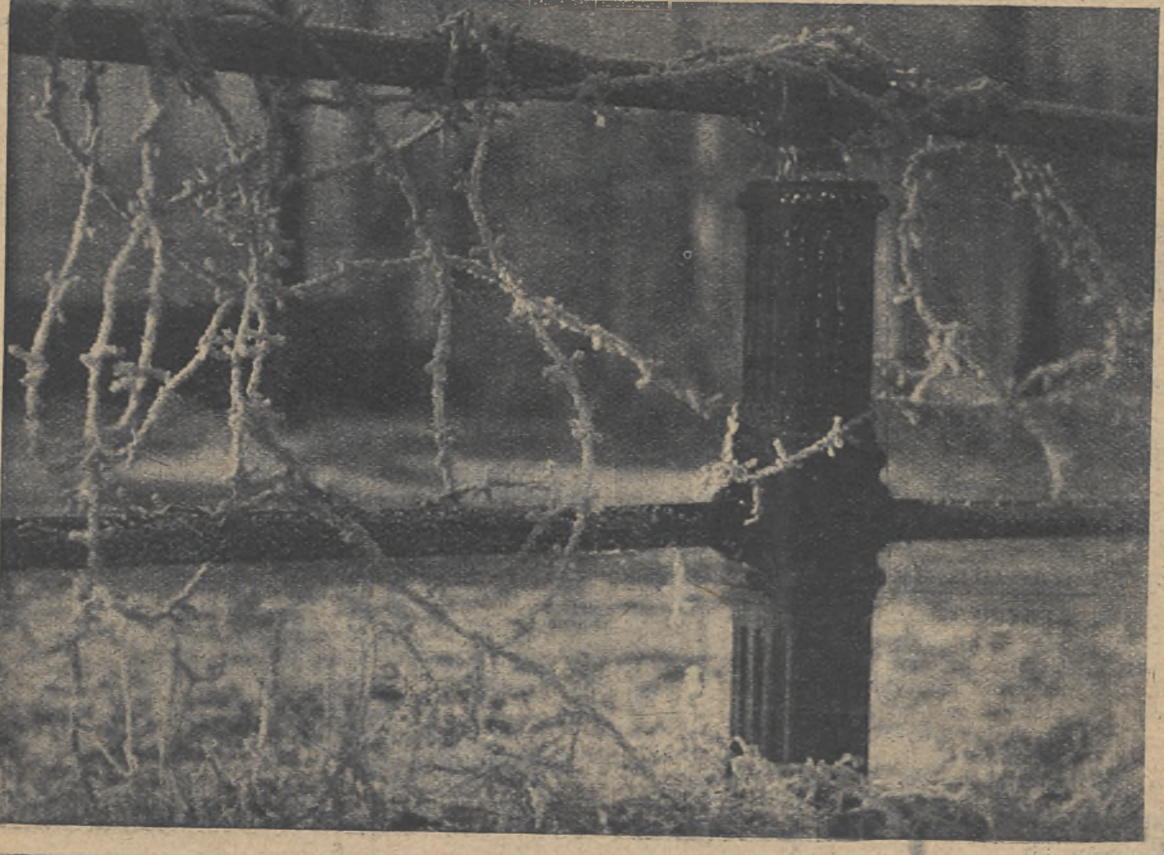
Oto naprzykład, w urywku z poematu F. Morawskiego p. t. „Dworzec mego dziadka" znajdujemy następujący opis wiejskiego kominka:



Chatyna w górach (fot. dr. Wieczorek)

„Piec wielki, piec ogromny stał z przeciwnej strony,
Kaflanem Sobieskiego popiersiem zwieńczony,
Istny olbrzym Babelu, co na podpał mały,
Paszczą swoją połykał drzewa sążeń cały,
I w którym jak to dawne powiadały dzieje,
Potrzykroć się przed laty zakradły złodzieje.
Stykał się z nim rozległej, równie jak on miary,
Komin, krewniak, towarzysz i przyjaciel stary;
Gorząc wzajem tak w dziennej, jak i w nocnej dobie,
Ciągłym żarem afektu dogrzewali sobie.
Jak ów potwór, co całą zalega jaskinię,
Tak potężny pień dębu jeżył się w kominie;
Stróż nań ciągle szczypt smolnych całe kupy walił;
Huczał ogień, i Dziaduś przy nim lurka palił..."

Inny pamiętnikarz, Ludwik Jabłonowski, dorzuca wszakże ciekawe światło na sposób, w jaki zobezpieczano się wówczas od chłodów zimowych. Oto bowiem, choć komin w bawialnym pokoju zajmował poczesne miejsce i wrzucano doń ogromne kłody drzewa, to jednocześnie nie zabepieczano okien, przez których szpary waliła zadma śnieżysta, aż wszyscy musieli kutać się w futra i szczękali zębami.



Efekt śniegu w mieście. (fot. Photoplat)

Dobrze choć jeszcze, że w starych dworach znajdowano kominki, cz, jeśli można wierzyć ścisłości opowiadania Jabłonowskiego, w nowych pałacach, jak np. u pani starościny Wyszegrodzkiej, stały piękne ece kaflowe, w których nigdy nie palono. „Już o ćwierć mili na sam dok tego domu mróz po krzyżach chodził..."

Chłodno tedy bywało, lecz zato jakże wesoło. Skoro tylko zaczyła się pora jesienna, bawiono się ochoczo w stolicy, nie zważając na szelkie przeciwności losu.

O tańcach mawiano, iż na to są stworzone, „iżby się kawalerowie usznie pannom przypatrywali. Na to *świeczkowy*, żeby, jeśli który nie ojrzy, lepiej ją widział przy świecy, którą przed sobą nosi. Na to *mieony*, żeby z boku obaczył tem lepiej, jak chodzi, na to *goniony*, żeby dział, jeśli nie kaleka, albo nie dychawiczna, na to *śpiewany kowal*, by słyszał, jeśli nie niemota, na to *Niemiec*, żeby jak w garnce kołali, czy dobra miedź i złość, jeśli się w niej ozwie i na to *angielskie* ńce świeżo wprowadzono, aby wszyscy ku sobie rękami klaskali i mioli się ze sobą".

Największą wszakże osobliwością taneczną był polonez, po raz pierszy wprowadzony z powodu tuszy Władysława IV-go, przyczem uzyka była identyczna z kolendą „W żłobie leży".

Rozwięzłość obyczajów zastąpiła wkrótce zwykłą chęć uciechy i doła do kulminacyjnego punktu za czasów saskich, kiedy to wprowadzono bok bali dworskich i zabaw prywatnych — zabawy publiczne, t. zw. eduty", na których chodziło nie tyle o taniec, ile o pikantne przygody.

Pierwsze reduty odbywały się podobno na Starem Mieście, w domu zy ulicy Piekarskiej. Dało to powód do wprowadzenia nowego systemu komocji — lektykami, które można było nawet wynajmować.

Opowiadają na ten temat zabawną anegdotę, o tem, jak pewien szlachcic, przybyły gdzieś z dalekich Kresów, wędrował na redutę w lektyce... odpychając się nogami, gdyż, jak się okazało, dostarczono mu przez niedopatrzenie, niewykończone pudło, w którem brakowało dna. Poczciwy kresowiec myślał, w niewinności ducha, iż wszystko jest w porządku. Można więc sobie wyobrazić, w jakim stanie ukazał się na Piekarskiej!...

Nie mniej hucznie bywało na prowincji... W Wilnie, naprzykład fama o redutach, na których trwoniono olbrzymie fortuny, głośnem echem rozległa się po całym kraju. Dość powiedzieć, że jeden Jarosław Potocki stracił na tych zabawach nie mniej 15000 dusz. Osobliwoscią prowadzenia intryg na wileńskich redutach było odgadywanie zamaskowanych drogą wzajemnego wypisywania sobie inicjałów imion i nazwisk... na rękawiczkach.

Zakończę wreszcie tę garstkę „kominkowych" gawęd opowiadaniem o smętnej przygodzie komendanta cytadeli warszawskiej generała Simonicza.

Oto dygnitarz ten, jak większość zresztą zaborców, lubił popisywać się na ulicach miasta chyżością swego kłusaka. Cóż z tego, że w pluchę obryzgiwał błotem wszystkich, a zimową porą „zanosiło" sanki pod nogi obywatelom.. Wszystko im było dozwolone. Uparł się tedy pewnego dnia zjechać, mimo strasznej grudy, ulicą Bednarską. „Waśka" potknął się, generał wyleciał z „prolotki" i rozwalił sobie łeb. Podnieśli dogorywającego. W parę godzin później nadeszła nominacja Simonicza na ministra, a ludek warszawski takie to wygłosił „smutne" epitafjum, iż raz nareszcie Petersburg zapragnął mieć ministra z *otwartą* głową.

Lubicz.



Najprostszy motyw dekoracyjny. (fot. dr. Wieczorek)



Ogród Saski w zimowej szacie. (fot. Photoplat)



Niechaj mi wybaczą przedewszystkiem panowie fabrykanci zabawek, iż mimowoli czynię im krzywdę, wypowiadając swój pogląd na jeden z najaktualniejszych bodaj tematów przedświątecznych, którym interesują się wszyscy — począwszy od malców, a kończąc na tych, co w ciężkich czasach dzisiejszych zgrzytając zębami, „trzymają się za kieszeń" — lecz muszą najskromniejszym bodaj upominkiem zadośćuczynić tradycji gwiazdkowej.

Krzywda to będzie niewielka, gdyż głęboko przekonany jestem, iż zabawki, kupowane w sklepach, będą i nadal cieszyć się popytem.

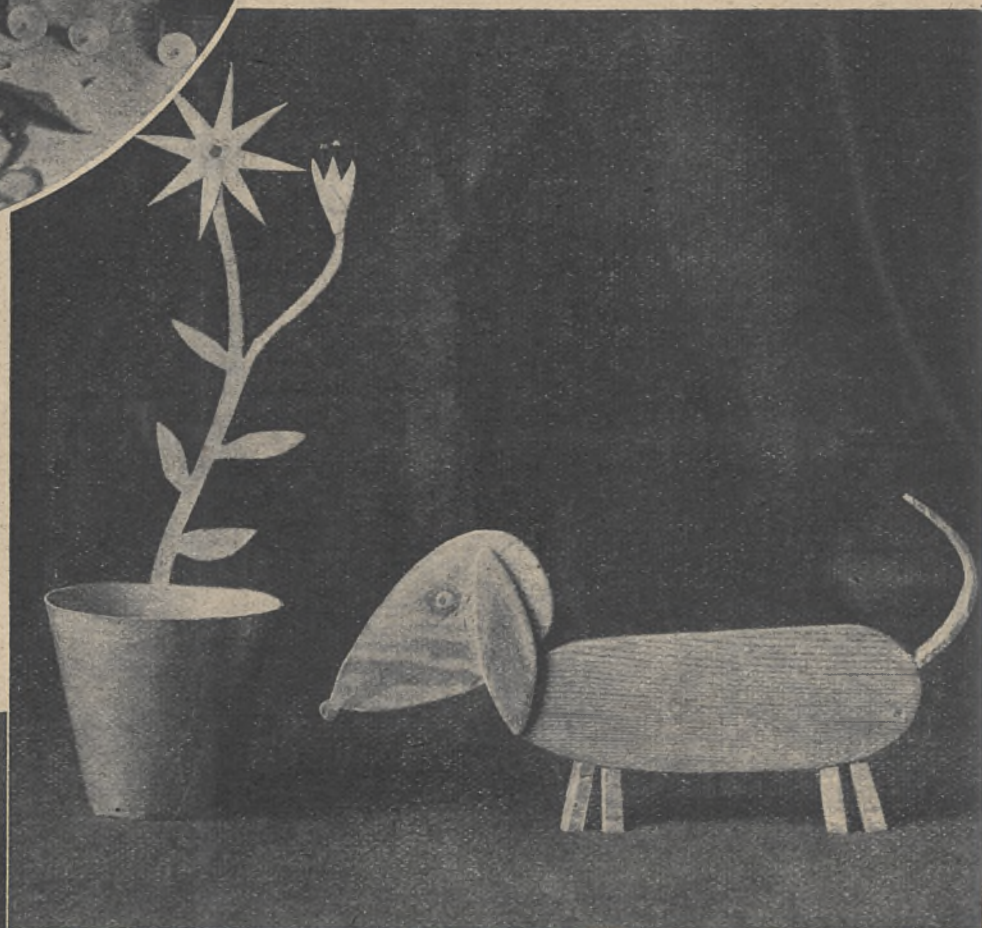
Krzywda będzie również niewielka dla dziatwy, jeśli starsi, zasłaniając się tą garstką uwag naszych — zamkną swe kabzy i skierują uwagę na inne, bardziej praktyczne upominki, gdyż nie wszystkim przychodziło do głowy, iż dzieci mają największe przekonanie do zabawek, które same sobie sfabrykowały.

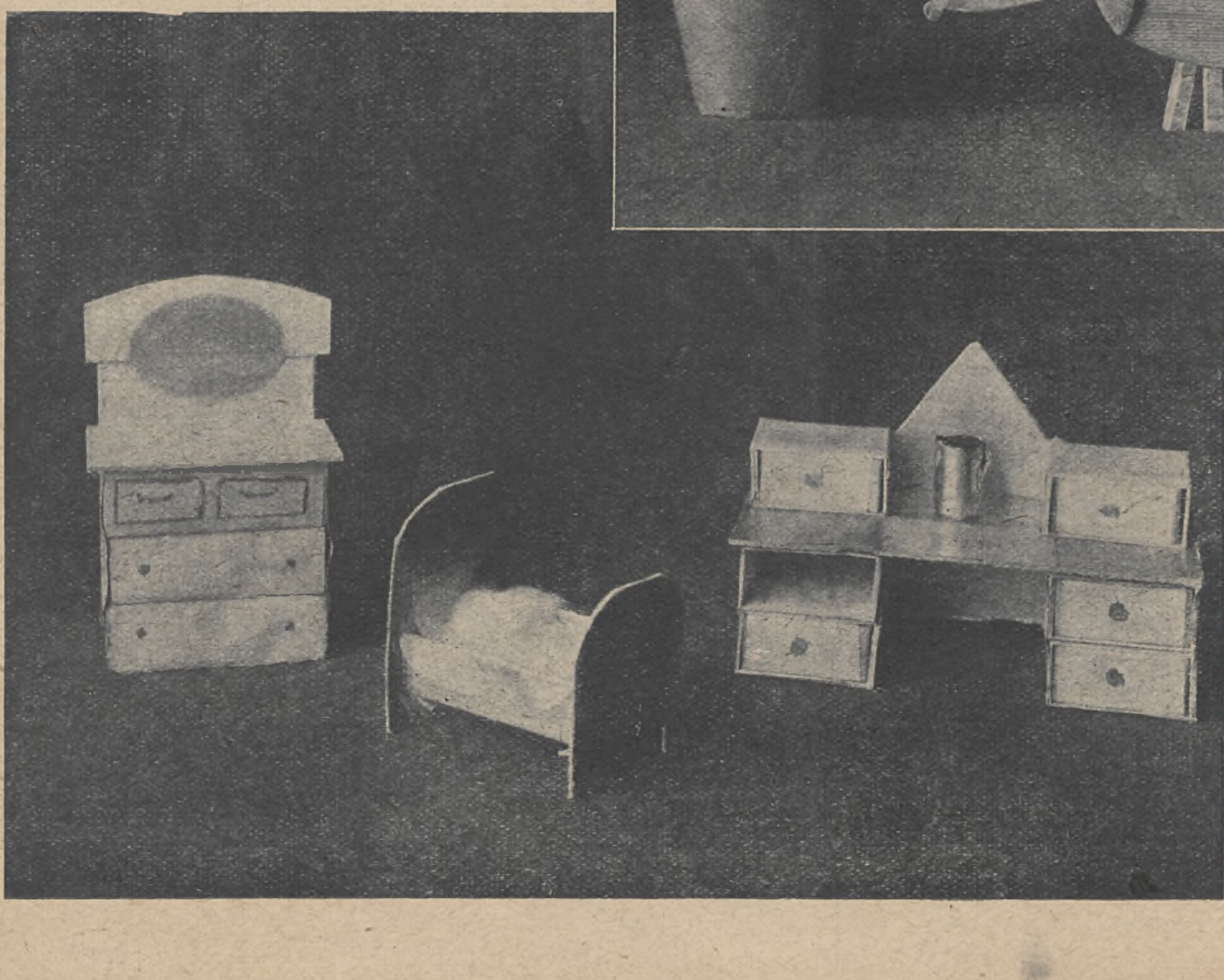
Nie każdy zastanawia się nad psychologją dziecka — więc niechaj zgóry mi nie przeczy, albo nie pyta o opinję najmłodszych, które — jakbym to widział — wypowiedzą się za najdroższą zabawką, a na drugi dzień przerobią ją według własnego „widzimisię", przystosowując do innego celu od jej przeznaczenia, lub z przyjemnością zepsują, gdyż pragną zobaczyć, „co jest w środku".

Najlepszą zabawką dla dziecka jest ta, którą sam sobie sfabrykuje. Pomóżmy mu, rozwijajmy przyrodzoną inicjatywę i samodzielność — a sami zaoszczędźmy pieniędzy na rzeczy niezbędne.

(e)

Parę słów o zabawkach





Pudełko od zapałek, tekturka, deszczułka, laubzega, trochę kleju, nieco wyobraźni — lecz nadewszystko dużo cierpliwości, a zabawka gotowa. Lepiej wszak budować, niźli psuć drogie zabawki.

Impresje teatralne

„WESOŁY WIECZÓR": „Grunt to flota". — „ANANAS": „Słówko na P."

Z prawdziwą przyjemnością stwierdzić wypada, że „Wesoły Wieczór" zdołał utrafić w bardzo dobry rodzaj widowiska i daje widzom rzeczywiście „wesoły wieczór". Bez porywania się z motyką na słońce, bez wysiłku „olśnienia" za wszelką cenę, bez chytrego mędrkowania, dają nam tu stale w miarę wszystkiego potrochu, bez jednostronności i przesady: pomysłowe a gustowne dekoracje i kostjumy (Galewska), zręczne kierownictwo muzyczne (Wiehler), bardzo staranne opracowanie taneczne (Parnell), dowcipne i dobrze wyreżyserowane skecze (Skonieczny i Horski), a nawet—rzecz rzadka w rewjach widowiskowych — naogół niebanalne teksty (Krystjan). Bieżąca rewja ma znów przepiękny półfinał, ponadto szereg zawrotnych i doskonale wykonanych tańców, świadczących o stałym postępie technicznym Zizi Halamy, niegasnącej inwencji Parnella i sprężystej energji, z którą zdołał wreszcie stworzyć w Warszawie jedyny zespół „girls" z prawdziwego zdarzenia. Wiehler prześlicznie zwokalizował na mały chór piosenki żołnierskie, za co spotkała go zasłużona owacja. Zaledwie kilka słabszych momentów rewji (zwłaszcza teksty do „Offenbacha") zostało całkowicie przyćmione przez barwny blask całej reszty.

Przemiły zespół „Wesołego Wieczoru" był, jak zwykle, na wysokości zadania: pięknogłosa Messalówna, jasnowłosa Niemirzanka (urocza emigrantka z „Ananasa", odskoczni przyszłych „gwiazd" rewjowych), zawsze mile widziana i słyszana Gabrielli, zamało pokazywana, a taka przecież utalentowan Krszewska, coraz wprawniejsza i pożyteczniejsza Żelichowska, pełna ujmującego powabu Nowicka, dla której trzebaby wreszcie coś wymyśleć, aby miała wdzięczniejsze pole do popisu, bo zasługuje na to w zupełności; w zespole męskim coraz większe postępy ujawnia Klimaszewski, a dobrzy dawni znajomi: Skonieczny, Horski, Krzewiński, Rentgen i Macherski są stale na wysokości zadania. Dyr. Woyciechowskiemu — brawo!

I niemniejsze — dyr. Jastrzębcowi, który bije wszystkie rekordy w wynajdywaniu i lansowaniu nowych klejnocików rewjowych „Qui pro quo" zabrało mu jego wynalazek — Fuksa, wobec czego zemścił się okrutnie, wyłuskał bowiem z szarego tłumu „tacjankowego" perełkę w postaci czarujaco-uroczej Basi Gilewskiej i wyszlifował z niej w ciagu paru dni prześlicznie połyskującą iskierkami szczerego talentu „gwiazdkę", która z pewnością jeszcze pięknie zajaśnieje na firmamencie rewjowym, sądzac z sukcesu debiutu. Główną atrakcją bieżącej rewji jest wszakże gścinny występ cenionej śpiewaczki operetkowej Orskiej, której trzeba koniecznie dobrego reżysera, a odnosić będzie w rewjach duże tryumfy, tembardziej, że ma ku temu wszelkie dane. Całość rewji jest bardzo interesujaca (z wyjatkiem skeczów i monologów) i daje piękne pole do popisu niezrównanej parodystce Runowieckiej coraz wspanialszej w swym komiźmie Skwierczyńskiej zawsze zachwycającej i pięknie się rozwijającej artystycznie Sozonowiczównie, ognistej Korczyńskiej, której godnie partneruje Śnieżyński, wreszcie: Belskiemu (nagle... tańczacemu i to b. dobrze), Borońskiemu, świetnemu duetowi Szenes—Welin, robiącemu postępy Rewskiemu i Leńskiemu. Półfinał bardzo ciekawy dekoracyjnie. Piękna oprawa muzyczna nakazuje szczerze pochwalić dyr. Białostockiego.

Henryk Liński.

Premje dla nowych prenumeratorów „7 DNI"

Każdy nowy prenumerator „7 Dni", który zaprenumeruje nasz tygodnik od dnia 1 stycznia 1931 roku, otrzyma premję w postaci książki. Spis książek będzie podany w jednym z najbliższych numerów.

REDAKCJA.



Karta królewska. „Loyal London" lawiruje u wejścia do Deptfortu.



Karta księcia i księżny Yorku. Ten luksusowy mail-coach można nazwać: „dobre, dawne czasy".

HAPPY CHRISTMAS

Do uświęconych tradycyj angielskich obchodu Bożego Narodzenia i Nowego Roku należy między innemi nadsyłanie życzeń, drukowanych na niezwykle ozdobnych kartach.

Niema takiego nędzarza, któryby paru groszy nie poświęcił, aby kupić kartę choćby dla najbliższych i poskąpił na markę pocztową.

Pod tym względem przynajmniej panuje w Anglji dziwna harmonja, łącząca wszystkie klasy społeczeństwa o przestrzeganiu odwiecznych zwyczajów.

Happy Christmas and New Year — piszą do siebie, rozsiani po olbrzymiej przestrzeni Imperjum i po wszystkich częściach świata, pamiętając nawet o przygodnie zawartych znajomościach w obcych krajach.

I król, i cała rodzina *His Majesty*'s nie zapominają o swoich znajomych, nadsyłając im karty z własnoręcznym podpisem.

Na kartach królewskich, jako przystało na tych, którym dane jest przewodzić w przestrzeganiu tradycyj, wyobrażone są motywy, tchnące wspomnieniami o dawnych czasach.

A więc król i następca tronu wybrali sobie motywy morskie. Rejs „Loyal London" wyobrażony jest na karcie króla, książę Walji wybrał „Hudson", płynący po Atlantyku.

Książę Yorku z małżonką podpisują się pod obrazkiem wyobrażającym sielankową przejażdżkę Mail Coach'em.

Jedynie królowa woli snać przyrodę i obdarza swych znajomych pięknym kobiercem kwiatów.

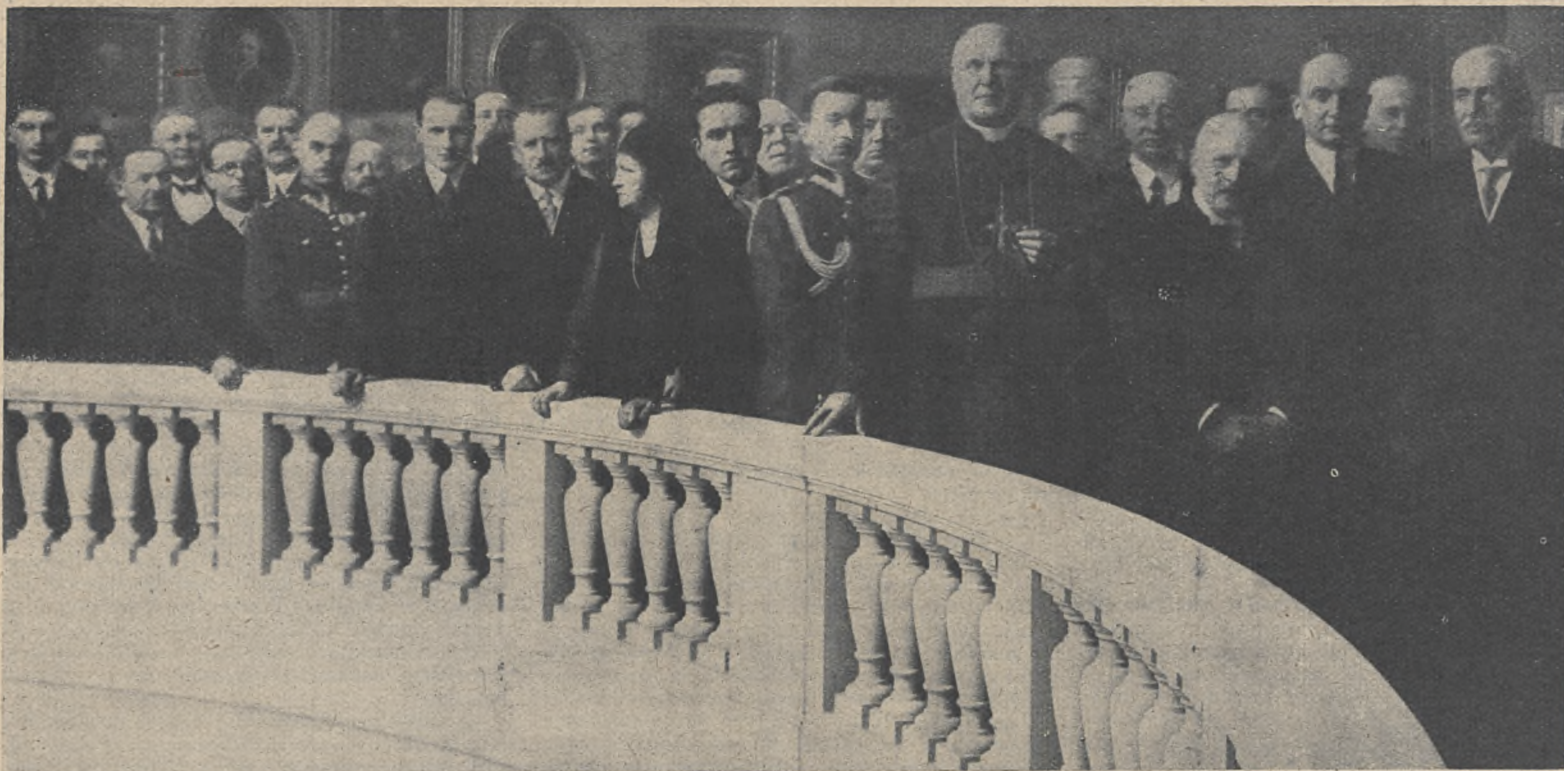
Dodajmy wreszcie na zakończenie, że w samym Londynie sprzedaje się corocznie 10 miljonów kart.



Karta królowej. Ten cudowny widok przedstawia „kwietniki perłum"



Karta świąteczna ks. Walji. „Hudson", żeglujący przez Atlantyk.



Grupa uczestników uroczystego otwarcia Bibljoteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich z Panem Prezydentem Rzplitej na czele. *(fot. Sitkowski)*

PIĘKNY CZYN OBYWATELSKI

(Otwarcie Bibljoteki i Muzeum Ord. Krasińskich).

Ze szczerem wzruszeniem asystowaliśmy przed kilkoma dniami uroczystości otwarcia Bibljoteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich.

Przejęci do głębi serca przysłuchiwaliśmy się przemówieniom, a zwłaszcza słowom J. E. ks. biskupa Szlagowskiego, zwróconym do Ordynata Edwarda hr. Krasińskiego, który zgodnie z tradycją rodową, strzeszczoną w dewizie — „Amor patriae nostra lex" i w myśl zawołania wielkiego swego przodka, wieszcza Zygmunta — „zgińce me pieśni, wstańcie czyny moje" — dokonał wielkiego dzieła i zasłużył się Ojczyźnie i Społeczeństwu.

Piękny to zaiste i wiekopomny czyn.

A oto pobudki, które skłoniły jego autora, Ordynata hr. Edwarda:

„Za czasów niewoli była ta bibljoteka jedną z najgłówniejszych, gdzie uczeni czerpali tajemnie wiedzę i nadzieję w pomyślniejsze losy Ojczyzny, dziś wolne całe społeczeństwo może w jasności dnia Bożego oddawać się naukom i sztukom i wynosić z tej naszej pomocniczej placówki zasoby mądrości, moralności domowej i publicznej, myśli społecznej i myśli państwowej, może ono, nie ścieśnione niczem, udoskonalić się wewnętrznie, tworzyć towe wartości życia, abyśmy pod znakiem światła stali się mocnymi.

Dążąc żywiołowo do wzniesienia się w kręgi najwyższych myśli i czynów — idziemy my, Polacy, w bój za wolność, za wielką ideę kultury narodowej, za cele powszechne ludzkości — w imię tego, jedynie prawdziwego postępu, który każe kroczyć poprzez nauki sztuki — do jedynego celu człowieka, do Boga, do poznania Go, do umiłowania i zasłużenia sobie na rozkwit pod Jego Okiem — z własnego ciągłego, nieśmiertelnego wysiłku".

W uroczystości tej wzięli udział Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, J. Em. ks. kardynał Al. Kakowski, J. E. nuncjusz papieski mnsr. Marmaggi, J. E. ks. biskup dr. A. Szlagowski, ministrowie Czerwiński i Zaleski, wiceminister ks. prof. Żongołłowcz, posłowie Szwecji, Szwajcarji i przedstawiciel ambasady francuskiej, prezydent m. st. Warszawy inż. Słomiński, goście zagraniczni: p. Collin, dyrektor Bibljoteki Królewskiej w Sztokholmie p. Svensma, bibljotekarz Ligi Narodów, świat naukowy, literatura, prasa i przedstawiciele starych rodów polskich.

P. Minister Czerwiński stał się wyrazicielem ogólnej opinji, kiedy mówił o doniosłem znaczeniu tego przybytku nauki dla kraju, podkreślił, iż czyn hojnego fundatora „wykracza daleko poza blask imienia rodowego".

Czyn Ordynata Edwarda Krasińskiego zostanie zapisany ku wiecznej pamięci w dziejach kultury polskiej, gdyż, dzięki rozszerzeniu i gruntownej przebudowie gmachu Bibljoteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich, z której przez tyle lat czerpano nieprzebrane skarby wiedzy — wzmogą się szeregi pracowników naukowych.



Z okazji obchodu 100-lecia Powstania Listopadowego odsłonięto tablicę pamiątkową na domu w Paryżu, w którym zamieszkiwał podczas emigracji Lelewel.

PIERRE MAC ORLAN. 12



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka. Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

— Ach, czy ja wiem... To trudno określić... Zatracenie własnej godności...

— To zabawne...

— Tak, masz rację.

— Nie lubisz mego zajęcia. Mieszczański przesąd... Trzeba walczyć z tym niewytłumaczonym sentymentalizmem. Kiedy byłem w domu, myślałem jak ty...

— Masz rację, z pewnością masz rację.

Saint-Thierry znał doskonale Barcelonę. Nazajutrz po ich przyjeździe, jakiś siwiejący, tęgi mężczyzna, ubrany starannie i z pewną elegancją, zapytał o nich w hotelu.

Marja-Chantal leżała jeszcze w łóżku. Saint-Thierry przyjął telefon i polecił portjerowi, żeby zatrzymał nieznajomego.

— To ktoś z mych starych przyjaciół. Poznasz go niedługo. Dzisiaj zjem sam z nim śniadanie, a ty możesz pójść do małej błękitnej restauracji „Barcelonetta", albo, jeśli wolisz, do hotelu. Będzie ci tu nawet przyjemniej. Przyjdę po ciebie wieczorem i pójdziemy do „Sewilli", może nawet z moim przyjacielem.

Saint-Thierry ubrał się i ogolił, nie tracąc czasu. Kiedy był gotów, ucałował żonę i wyszedł.

W hallu zobaczył wysoką sylwetkę Juana.

— W porządku...

— W porządku... Otrzymałeś... Tak... Wszystko dobrze.

— Tak, wszystko dobrze...

— Chodźmy zobaczyć Bossette'a.

Wyszli z hotelu. Saint-Thierry z przyjemnością wdychał zapach kwiatów, morza i miasta, która specjalnie wyróżniał z pośród wielu innych. Żołnierze z pułków piechoty i saperów, w mundurach khaki i beretach z czerwono-żółtemi kokardami, w płóciennych butach, śpieszyli do rozpalonych murów koszar. Mała miedziana trąbka regulowała tryb ich codziennego życia. Poza wysokiemi murami słychać było orkiestrę wojskową, która wygrywała pasodoble.

Juan Hortilopitz oddał ukłon grupce młodych ludzi, którzy przyglądali mu się ze śmiechem.

— Wygrałem wczoraj — powiedział Juan bez dalszych objaśnień.

— Andrzej Bossette ma się dobrze?

— Zajmuje się swemi interesami.

— Dezerter... — gderał Saint-Thierry. — Oczywiście... co rok jedzie do Paryża.

— To człowiek poważny. A to wielka sztuka być poważnym — mówił Juan. — Trudno nawet zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia jest to sztuka. Co, Pedro?

— Jak? — spytał Saint-Thierry.

— Omyliłem się — usprawiedliwiał się Hortilopitz.

— Mnie się też czasami zdarza, że się mylę w imionach. Oto i bar „La Mamaya". Nic się tu nie zmieniło, prawda? W tamtych czasach nazywano cię żeglarzem lub kapitanem Juanem. Pamiętasz bójkę między Philipim Bossette i całą zgrają, a marynarzami z „La Bourdonnais"? Nie łatwo było wtedy dojść z nami do ładu.

— Ludzie się zmieniają — zauważył Juan.

— Temperują się raczej, gdyż ja się nie zmieniłem.

— Nie, jesteś zawsze taki sam niespokojny duch.

— Nie powiem, żebyś był uprzejmy.

— Nie gniewaj się, Pe... Szymonie. Ale ostatnia sprawa, sprawa pomarańczy z La Palma nie dała tego, co powinna była dać.

— Chciałbym cię tam widzieć, na mojem miejscu. Nie znałem La Palma. Trzeba było szybko działać ze względu na denuncjacje... Nie mogłem kupić całego ładunku, ale udało mi się zdobyć połowę. I to dobre.

— Do handlu nie jest konieczna inteligencja — mówił Juan. — Powtarzam, inteligencja nie pomaga w handlu. Trzeba być poważnym aż do poświęcenia siebie. Powaga człowieka — to ostrzo siekiery.

— Czy możesz mi zarzucić, że nie jestem koleżeński?

— Zmieniasz temat. Można być dobrym kolegą i nie być wcale człowiekiem poważnym. Nie byłem, coprawda, w La Palma, ale zdaje mi się, że przy usilnych staraniach, działając, jak się należy... mogłeś... nie wiem...

— Dzwon na alarm rozlegał się na wszystkich ulicach, kapitanie.

Saint-Thierry i Juan Hortilopitz z rękami, założonemi wtył, szli powoli ulicami Barcelony. Poważny Hortilopitz, w ubraniu z szarego sukna i szerokim cowboyskim kapeluszu, stawał od czasu do czasu i spoglądał na towarzysza, kładąc mu po przyjacielsku dłoń na ramieniu.

— Oto „Bar de la Momoya".

— Dzień dobry, Bossette! To Saint-Thierry, nasz korespondent. Tym razem przyjechał w związku z wielką sprawą likierów w Brukseli. Co mamy mu powiedzieć?

— Lepiej zaczekać — odparł Bossette. — Wczoraj spostrzegłem na ulicy del Centro pewnego człowieka, którego już raz w życiu spotkałem... przed wojną.

— Czy to nie było przypadkiem w dzień sprawy „La Criolla"? — spytał Saint-Thierry.

— O, nie... Nie zna pan tego człowieka... Byłby niebezpieczny dla pana i Hortilopitza tylko wtedy, gdyby was spotkał w mojem towarzystwie. Jestem pewien, że go widziałem na rogu ulicy Arche-du-Théâtre. Przechadzał się z miną turysty, przyglądając się lokalom w dzielnicy chińskiej. Nie jestem dziś już tym, którym byłem w tamtych czasach. Sądzę, że nie poznałby mnie. On też postarzał się trochę. To on zaaresztował na granicy Milady Winifred, dziewczynę Jagona Nieszczęsnego. Rozstrzelano ją na małej dróżce między skałami, nad morzem. Powiedziano jej: „Jest pani wolna".

Straż przepuściła ją. Była źle obuta i raniła sobie stopy na kamiennej dróżce. Nie wierząc swemu szczęściu, odwracała się co dziesięć kroków i uśmiechała do strażników. Nagle zobaczyła, że sierżant przykłada do ramienia karabin. Podniosła ramiona w górę i upadła twarzą ku ziemi w zarośla agawy. Usiłowała powstać i krzyknęła: „Madre!" Druga kula powaliła ją na dobre. Taka jest historja śmierci Milady Manifred.

Juan Hortilopitz spuścił głowę i powiedział:

— Widziałem kałużę krwi u stóp agawy. Wszyscyśmy bardzo lubili tą miłą towarzyszkę. Ale wtedy, w czasach agitacji bolszewickiej i szpiegostwa, zabijano na prawo i lewo.

— No więc? — spytał Saint-Thierry — trudziłem się na darmo?

— Teraz nie możemy zaryzykować kapitałów — odparł Bossette.

— Może później — wtrącił kapitan Juan.

— To nie jest ładnie z waszej strony, bo w sprawie La Palma tylko ja ryzykowałem — mówił Saint-Thierry.

— Nie jesteś pokrzydzony — powiedział Bosette.

— Nie, ale wydałem sporo pieniędzy, odkąd tu jestem. Nie liczę na pesety, ale na franki.

Bossette wzruszył ramionami, a Juan Hortilopitz wystukiwał marsza palcami na stole.

— W takim razie wyjadę jutro — zadecydował Saint-Thierry.

Nikt nie oponował. Trzej przyjaciele uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się.

Kiedy Saint-Thierry został sam, stanął na chwilę na rogu ulicy del Cid Campeador i Parallelo. Dziewczyny bez kapeluszy, w bardzo krótkich sukniach, przeszły obok niego, rozmawiając z ożywieniem.

— Gąski! — mruknął Saint-Thierry.

— Kto mógł mnie obgadać? — myślał. — Kto tutaj przyszedł, żeby mi szkodzić? Co opowiedziano Bossette'owi i kapitanowi?

Robił różne przypuszczenia, ale nie wpadł na nic pewnego. Z wściekłością rzucił niewypalonego papierosa. Stał na rogu ulicy, której słaby ruch nie mógł go wyrwać z zadumy. Zdecydował się wreszcie zatelefonować do żony z kawiarni, którą odwiedzał często Bossette i kapitan Juan.

Minął dzielnicę Barrio Chino. Małe uliczki dobrze mu były znane. Gorąco dokuczało w niebywały sposób. Wszystkie okna były zamknięte. Kilku marynarzy angielskich włóczyło się po ulicy. Za nimi szła chuda, jasna dziewczyna, klasyczny międzynarodowy typ dziewczyn z portów handlowych. Marynarze weszli do handelku win, a dziewczyna poszła dalej, nucąc modną piosenkę:

Ay Mama Inès
Ay Mama Inès
Todo los nègros
Tomamos café.

Szymon Saint-Thierry wrócił przed teatr. Ogólne ożywienie udzieliło się i jemu. Żołnierze, młodzi chłopcy i dziewczęta popychali się poufale. Dwaj wieśniacy z Escuadry, z przepisowemi faworytami, okalającemi szerokie ogorzałe twarze, w małych czapeczkach i płóciennych białoniebieskich butach, odcinali się od reszty spacerowiczów. Saint-Thierry odwrócił się, żeby się im przyjrzeć, gdyż ich strój go zaciekawił. Potem wszedł do kawiarni i zatelefonował do żony, żeby spakowała walizki i była gotowa do wyjazdu wieczorem.

*

Kiedy dzwonek telefonu rozległ się w pokoju, Marja-Chantal kończyła się ubierać. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos męża. Nie mogła ukryć pewnego zdziwienia. Odłożyła telefon i zamyśliła się z zasępioną twarzą. Usiadła na łóżku, oparłszy brodę na dłoni w zwykłej sobie pozie.

— Halucynacja — zadecydowała, kładąc kapelusz przed lustrem.

Zeszła do restauracji hotelowej i usiadła przy swoim zwykłym stoliku. W obszernej sali było mało ludzi. Kilku Hiszpanów, jeden oficer angielski w cywilu, młoda Niemka z mężem. Marja-Chantal i Saint-Thierry pośpiesznie kończyła śniadanie. Zawahała się, czy wypalić papierosa, wkońcu schowała papierośnicę do torebki.

Młoda kobieta wydawała się czemś bardzo zatroskana. Przeszła się po placu Catalunya i kupiła gazety. Przy „pomniku nieznanego footbalisty" zauważyła i poznała człowieka, którego obecność w Barcelonie zdumiała ją tak bardzo, że nie wierzyła własnym oczom.

— To niemożliwe... Omyliłam się. Eligjusz Mutter nie może być w Barcelonie. Zawiadomiłby nas chyba, znał przecież nasz adres. To na pewno nie on.

Kupiła gazety i chciała pójść w kierunku portu.

— Nie, to niemożliwe — myślała, — żeby Mutter był tutaj, chociaż podróżuje czasami w poszukiwaniu swoich antyków. Taksówka pomknęła w stronę placu Catalunya. Pojechał widocznie do naszego hotelu. Spotkam go na pewno w hallu, ponieważ powiedziałam portjerowi, że zaraz wrócę.

Zawołała taksówkę i kazała się zawieźć do hotelu. Była tak pewna, że zastanie tam przyjaciela, iż bez namysłu skierowała się do saloników obok sali jadalnej. Pierwszy był pusty, w drugim zaś siedziała jakaś starsza pani i pisała listy. Marja-Chantal rozczarowana wróciła do portjera. *(D. c. n.)*

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF.



a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, c, d, i, i, k, k, k, k, k, k, k, k, l, l, l, l, m, m, n, n, n, n, o, o, p, p, p, p, p, r, r, r, r, s, s, t, t, t, u, w, w, z.

Z powyższych liter ułożyć trzynaście wyrazów poziomych. Środkowe litery słów, czytane ku dołowi, utworzą imię i nazwisko słynnego pisarza.

Znaczenie słów:

1. Rzeka w Polsce;
2. Pożywienie rozmoczone;
3. Rodzicielka;
4. Zwierzę domowe;
5. Kobieta niezamężna;
6. Krem, smar, maź;
7. Grupa, działająca w porozumieniu;
8. Przyrząd do mierzenia głębokości;
9. Ramię polipa;
10. Zabawka dziecinna;
11. Roślina;
12. Imię żeńskie;
13. Dwoje.

ZADANIE KONIKOWE.

n	o	g	e	j	m
e	n	a	u	o	s
ł	i	w	i	j	s
a	w	s	s	i	n
e	z	tu	o	e	e

Obejść powyższy kwadrat ruchem konika (skoczka szachowego) tak, aby utworzyła się aktualna treść polityczna.

Nagrody

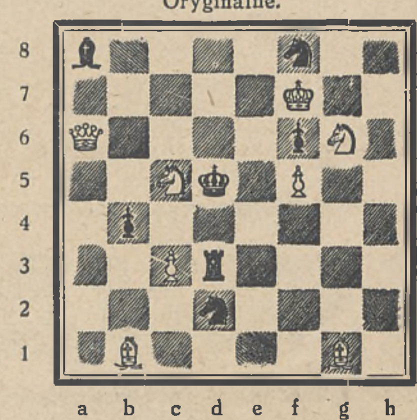
Za rozwiązanie logogryfu i zadania konikowego z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 24 grudnia b. r.

ZADANIE

Leon Tuhan-Baranowski, Warszawa.
Oryginalne.



Mat w 2 posunięciach.

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Marquis de Champaubert

IV.

Sensacyjna afera żywcem pogrzebanego, fałszywego Markiza de Champaubert znalazła swój epilog przed sądem paryskim i zagadka ta została rozwiązana. Dawno już żaden proces nie wzbudził we wszystkich sferach takiego zainteresowania, jak rozprawa przeciwko wspólnikom nieszczęśliwego Passala: aferzysty i awanturnika Henry Boulogne, byłego aptekarza Feliksa Bachelet, którzy we dwójkę byli głównymi winowajcami strasznej śmierci fałszywego Markiza. Mniejszy udział brała w tem aferzystka i pierwsza pomocnica Passala, M-lle Gussy Heribal... równie piękna, jak niebezpieczna osóbka.

Afera sama chyba jest jeszcze w pamięci wszystkich. Przecież ta straszna przygoda Klementa Passal, w napięciu trzymała i cały Paryż i rozeszła się nawet daleko poza granice kraju. Oto bowiem okazało się, iż Passal wpadł pewnego dnia na pomysł wystawienia całej stolicy na dudka!

Wielokrotnie karany, Henry Boulogne przyznał się podczas śledztwa, że wspólnie z Bacheletem za zgodą Passala, pogrzebał markiza. Cała ta sprawa okazała się na dużą skalę zakrojonym oszustwem reklamowem z wynikiem tragicznym. Chciano dla pamiętnika, który Champauber - Passal zamierzał napisać, uzyskać większą popularność.

I stało się, że w mózgu tego, również niskiego, jak bezwątpienia wysoce utalentowanego, człowieka, powstała myśl, aby go żywcem pogrzebano w taki sposób, by mu w trumnie dobrze było!...

Do gazet miano przesłać listy anonimowe ze zwróceniem uwagi na to, że członkowie pewnej tajnej sekty zbrodniarzy, „Rycerzy Temidy" przez zemstę żywcem pogrzebali Markiza Champaubert, w lasku pod Verneuille, w miejscu dokładnie w liście oznaczonem. Tygodniami był plan ten we wszystkich swych szczegółach przygotowywany. Passal osobiście pisał listy do gazet i podpisał część tych nazwiskiem jakiejś „M-lle d'Orgeval", która w rozpaczy opisywała ten „straszny akt zemsty", jakiego na osobie jej narzeczonego dokonano. Następnie zredagował *wzruszający list pożegnalny do matki*, dwa listy do policji kryminalnej. Tego samego dnia, gdy pogrzeb miał miejsce, listy zostały wysłane.

Trumnę zamówił Henry Boulogne u stolarza. W obecności aptekarza Bachelet odbyła się potem próba jeneralna. Passala umieszczono w trumnie i pogrzebano w niewielkiej głębi, w ogrodziet jego willi. Trumnę połączono za pomocą rury powietrznej z powierzchnią ziemi. Tak pozostawał on przez pięć godzin w trumnie. Potem rozkopano grób i Passal wyszedł: próba znakomicie się udała.

Następnego dnia przy asyście Henry Boulogne'a i Feliksa Bachelet powtórnie pogrzebano, według wszelkich reguł sztuki, w lasku pod Verneuille, fałszywego markiza. Grób miał dwa metry głębokości i trumna posiadała metalową rurę powietrzną. Markiz trzymał w jednej ręce pół kila czekolady, którą miał się posilać przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny po swej śmierci. Spodziewał się, że najpóźniej na drugi dzień policja trumnę jego znajdzie i wykopie.

Nieszczęście chciało jednak, że ani gazety, ani też policja nie wzięli na serjo listów panny d'Orgeval. Gdy nazajutrz, stosownie do umowy, Boulogne zjawił się na grobie swego towarzysza, stwierdził, że ten nie żyje, a nazajutrz doniósł o wszystkiem policji. Trumna została wydobyta.

Pseudo-Markiz nie żył!
Rura powietrzna została przez opadające liście zapchana, tak, że nieszczęsny się udusił!

Przed sądem zapewniali Boulogne i Bachelet, że są niewinni; chcieli oni tylko wyświadczyć swemu przyjacielowi przysługę. Prokurator określił Passala, jako ofiarę źle zrozumianej reklamy. Po przemówieniu obrońców zapadł wyrok, skazujący Boulogne'a i Bachelet'a na trzy miesiące więzienia.

Okładkę projektował
LEON CHEJFEC

Paradoksy drobiazgów

Ten feljeton zatytułowałem „Paradoksy drobiazgów". Dlaczego tak uczyniłem — nie wiem... Tak mi się wyrwało. Lecz jeśli drobiazgiem było wymyśleć taki tytuł, natomiast pisanie o nich wcale nie jest drobiazgiem, a pierwszą trudność zaczyna się od tego, że ja nie wiem wogóle co to jest drobiazg?

Oto np. dla krwawego bandyty pozbawić mnie życia w ciemnym zaułku — to drobiazg, a dla mnie — utracić miły żywot... No, przepraszam, to wcale nie byłaby drobna sprawa.

O względności drobiazgów przekonał mnie kiedyś pewien przyjaciel, opowiadając mi aż trzy zdarzenia w ciągu jednego dnia, w których chodziło... o włos.

— Oto wyobraź sobie, że rano żona moja odkryła na mej błyszczącej łysinie piękny, złoty włos. Był to tylko włos, zdawałoby się drobiazg, lez jakąż radość sprawił w rodzinie.

Gdy tegoż dnia moja pani znalazła podczas obiadu podobny włos w zupie, w domu zrobiło się piekło. No, oczywiście — była to obrzydliwość.

Wieczorem natomiast, zdarzyła się rzecz znacnie gorsza, gdyż żona zauważyła niespodzianie na kołnierzu mej marynarki długi, jasny włos. Dalibóg nie byłem winien, lecz burzy jaką wywołał ten włos nie odważę się opisywać. A przecież, do licha, był to także tylko włos, taki drobiazg...

Naogół, zapatrzeni w większe rzeczy, mało zwracamy uwagi na drobiazgi. Z drobiazgów jednak składają się wszystkie dni naszego życia i drobiazgi, zazwyczaj, płatają nam najzabawniejsze, a czasem najboleśniejsze figle. I na tem właśnie polega ich paradoksalność.

Każdy z nas kieruje się w swem postępowaniu tysiącem drobnych zasad, w które święcie wierzy i przysiągłby, że ich najsumienniej przestrzega. Któż z nas naprzykład nie jest oszczędny? Każdy! Oszczędność jest hasłem współczesności! Oszczędność prowadzi do majątku! Oszczędność wzbogaca narody!

O oszczędności dałoby się bardzo wiele powiedzieć, to też znam ludzi tak bardzo w niej zamiłowanych, że aby nie uchybić jej zasadom, na 5 minut przed pół do jedenastej, siadają do taksówki, by zdążyć do domu przed zamknięciem bramy i zaoszczędzić napiwek dla stróża. To jest bądź co bądź oszczędność.

Mój własny system oszczędności odkryłem przypadkowo, przed paru tygodniami. Była to niedziela. Mimo święta, miałem przed południem trochę roboty w biurze. Skończyłem pracę o pierwszej, pozostawała jeszcze godzina czasu do obiadu.

Wyszedłem na ulicę. Padał deszcz. Postanowiłem jednak nie jechać taksówką, lecz pójść pieszo. Dla oszczędności.

Byłem bardzo dumny ze swego heroizmu i obliczyłem, że zaoszczędziłem w ten sposób dwa złote.

Nie mieszkam jednakże tak daleko, bym potrzebował iść całą godzinę. Tymczasem, po drodze, napatoczyła się restauracja. Pomyślałem, że byłoby dobrze przed obiadem coś przekąsić. Jeden kieliszek wódki i mała kanapka, doskonaleby mi zrobiła. Kosztować to będzie złotówkę — myślałem — a że zaoszczędziłem dwie na taksówce, więc mogę sobie pozwolić. No, czyż człowiek musi zawsze wszystkiem się krępować?

Wszedłem. Przy bufecie spotkałem znajomego. Wypiliśmy po dwa koniaczki i zjedliśmy po rybce faszerowanej. Zapłaciłem 5 złotych.

Wyszedłem na ulicę. Deszcz padał po dawnemu. Był też najwyższy czas na obiad. Dałem znak ręką przejeżdzającej taksówce i pojechałem do domu. Taksówka kosztowała złoty 60. Usiłowałem się pocieszyć, że gdybym był wsiadł przed biurem, kosztowałaby dwa złote. Bądź co bądź, zdołałem uratować 40 groszy. Nie była to wielka oszczędność, ale zawsze.

Ten system oszczędności uprawiam nietylko ja jeden. Przyznaję, że nie jest to system najdoskonalszy i nie zalecam go nikomu.

Żo naogół wziąwszy poglądy nasze, na wszelkiego rodzaju zagadnienia gospodarcze, nie są szablonowe, dowodzi tego bardzo ożywiona dysputa kilku osób, w której zdarzyło mi się brać udział. Rzecz toczyła się o samochodach. Wszyscy byli zapalonymi automobilistami i znali najskrytsze wady i zalety wszelkich samochodów, przyczem spierali się do upadłego o swych faworytów.

Pod koniec dyskusji, jeden z zapaleńców zauważył, że nawet najsprytniejszy sprzedawca nie potrafiłby ich namówić na kupno złego samochodu.

— Tak — dodał ze smutkiem inny — lecz nie namówiłby nas również na kupno najlepszego, gdyż nasze wspólne kapitały nie starczyłyby zapewne na kupno jakiejkolwiek maszyny, bodajby używanej.

Wmieszałem się do rozmowy, by ich pocieszyć:

— No, nie traćcie nadziei — powiedziałem — samochody będą coraz tańsze.

— Ba! Dla nas będą zawsze zbyt drogie. Chyba, żeby je rozdawano darmo.

— Kto wie? Konkurencja z czasem i do tego doprowadzi.

Powiedziałem to tak serjo, że moi automobiliście zamilkli zdumieni i dopiero po chwili, jeden z nich zapytał nieśmiało.

— Czy to istotnie możliwe? A jakże będą egzystowały fabryki?

Przybrałem minę wytrawnego ekonomisty i odpaliłem bez namysłu:

— Wszystko jest kwestją kalkulacji. Zysk na surowcach i półfabrykatach będzie wówczas tak wielki, że gotowy samochód wypadnie fabryce taniej, niż ją samą kosztuje.

Nareszcie moi rozmówcy zrozumieli, że z nich zażartowałem, lecz jeden z nich w godzinę później, dopędził mnie na ulicy i zapytał cichutko:

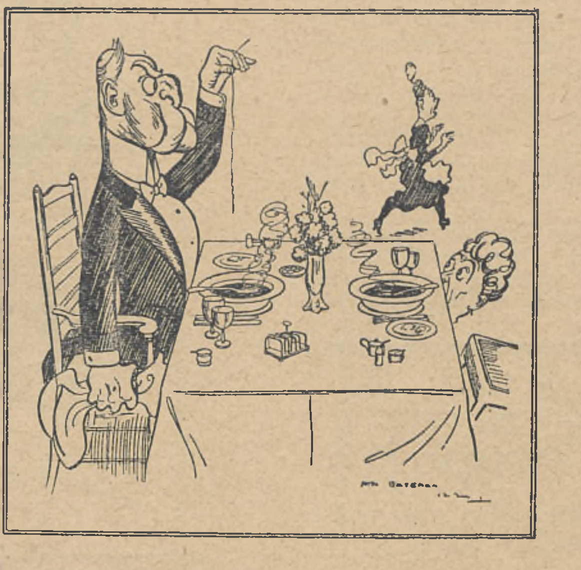
— Niech pan powie bez żartów, czy to co pan mówił, naprawdę jest możliwe?

Teraz zkolei ja byłem zdumiony. Ten człowiek zaimponował mi swoim optymizmem.

— Niech pan pisze do Forda — poradziłem mu. — To najlepszy fachowiec w tej dziedzinie...

Jeżeli Ford rzeczywiście zostanie na ten temat zainterpelowany, wyobrażam sobie, że będzie zdumiony nie mniej ode mnie. — Ha! zresztą nie zdarzy mu się to po raz pierwszy w życiu. — Słyszałem o nim ciekawą historję, z której wynika, że nie należy zbyt pochopnie wygłaszać różnych zasad, jakie rzekomo przyświecają nam w życiu, gdyż czasem sromotnie można się w ten sposób wsypać. Było to tak:

Jechał Ford — człowiek na Fordzie — maszynie i spotkał na drodze jakiegoś jegomościa, który w bezradnej pozie stał obok swego Forda i klął.



Ford-człowiek zatrzymał samochód i zapytał co się stało.

— Nie chce ta bestja ruszyć z miejsca. Jestem człowiekiem interesu i nie mam czasu do stracenia. — sarknął właściciel upartego samochodu.—Może pan się zna na tem świństwie?

— No, trochę się znam — uśmiechnął się Ford i zabrał się do roboty.

Po paru minutach stare Fordzisko zawarczało motorem i gotowe było do jazdy. Uradowany właściciel wyciągnął z kieszeni srebrnego dolara i podał go miljarderowi.

—Nie. Dziękuję, nic mi się nie należy — wymawiał się najbogatszy dziś człowiek na świecie. Nie trudnię się reparacjami fachowo.

Człowiek interesu zmarszczył brwi, schował dolara do kieszeni i mentorskim tonem cierpko zauważył:

— Bardzo nierozsądnie pan postępuje. Jest pan zręcznym mechanikiem i nie powinien pan gardzić żadnym zyskiem. Co do mnie, zarabiam na wszystkiem, na czem się da i dlatego jestem na drodze do majątku. Pan ze swoim systemem nie dojdzie nigdy do niczego.

To rzekłszy, człowiek interesu z dumą i dolarem w kieszeni odjechał. Ford uśmiechnął się i także odjechał.

Przykro mi, że wszystkie te rzeczy niepochlebne, które mówiłem, odnoszą się nie do mnie, a do moich bliźnich, lecz muszę wyznać, że nie lubię mówić źle o sobie. Wiem oczywiście, iż jedną z prymitywnych zasad przyzwoitości jest nie mówić nic złego o innych. Tę zasadę, gotów jest w każdej chwili zacytować każdy człowiek, ponieważ posiada wrodzony kult dla zasad. Lecz, gdy temu samemu „każdemu" człowiekowi, natychmiast po wysłuchaniu jego zasady, zadam pytanie:

— Jak się sprawuje pański kolega X?

Otrzymam odpowiedź:

— Biedny człowiek, prawdopodobnie będą musieli wylać go z posady. Nie chcę o nim powiedzieć nic złego, ale pan rozumie, że pewnych rzeczy tolerować nie można...

[Trudno. Ja to rozumiem. Zasada zasadą, a praktyka praktyką. Brzydko jest mówić źle o bliźnich, ale za to... przyjemnie. Nie pochwalam tego, ale wiem także, iż na moją przygánę nikt nie będzie zważał. Tak już jest w życiu, które, niemal w całości, składa się z drobnych paradoksów, czyli ze zjawisk, które w rzeczywistości są zupełnie inne niż nam się wydaje.

Chociaż rzekomo kierujemy się zasadami, w istocie postępujemy przeciwnie.

Przypomina mi się tu pewna, autentyczna zresztą anegdota, która doskonale ten stan ilustruje. Było to w pewnej miejscowości nad rzeką, gdzie często zdarzały się wypadki zatonięcia w czasie kąpieli, gdyż woda często przybierała. Miejscowy sołtys wpadł na radykalny pomysł zapobieżenia złu. W dno rzeki, w miejscu niebezpiecznem wbił słup, a do niego, na wysokości głowy ludzkiej, przytwierdził tablicę z takim napisem:

„Zakazuje się używani kąpieli w tej okolicy z chwilą, gdy woda podniesie się ponad poziom niniejszego napisu."

Jest to zupełnie tak samo, jak z owemi zasadami. Z chwilą gdy mają być zastosowane w praktyce, nikną pod wodą i nikt ich wówczas nie widzi. *Bonzo.*

Twórca igrzysk olimpijskich — krytykiem współczesnego sportu

Od szeregu już lat baron Piotr de Coubertin, uczony archeolog, odnowiciel Igrzysk Olimpijskich i propagator najszczytniejszych ideałów sportowych — wycofał się z czynnego udziału w życiu organizacyjnem, składając przedewszystkiem prezesurę Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego — najwyższej instancji sportowej całego świata.

Powodem tej rezygnacji było rozczarowanie. Baron de Coubertin, wierzył ongi fanatycznie w wychowawcze znaczenie sportu, uważał, że kult szlachetnego współzawodnictwa przekształci i ulepszy ludzkość i doprowadzi do braterstwa narodów. Walce o te ideały poświęcił wiele lat i wysiłków. Zawiódł się; nie sport upiększał życie, a życie zeszpeciło sport.

Baron Coubertin wycofał się więc — i milczał.

Nie należy on jednak do typu ludzi, zmieniających poglądy jak rękawiczki, palących dziś na stosie to, co ubóstwiali wczoraj. Dowodem — artykuł, który obiegł właśnie prasę obu półkul ziemskich.

Sędziwy twórca nowoczesnego olimpizmu przemówił. Wygłosił w uniwersytecie genewskim wykład, w którym przeprowadził krytykę współczesnego sportu; nie ograniczył się jednak do negacji — a wskazał środki zaradcze, mogące, zdaniem jego, zło naprawić.

Piotr de Coubertin, zarzuca współczesnemu sportowi trzy zasadnicze wady:

1) Przetrenowanie fizyczne,
2) Obniżenie poziomu intelektualnego,
3) Wprowadzenie do sportu zmysłu handlowego i chęci zysków materjalnych.

Winowajcami są tu nietylko sportowcy, lecz raczej: rodzice, instruktorzy, kierownicy klubów, prasa i czynniki publiczne.

Przeciwko wskazanym cechom ujemnym, wysunąć należy środki następujące:

Rozgraniczyć wychowanie sportowe i sport zawodniczy. Ograniczyć liczbę zawodów sportowych, zlikwidować wszelkie „mistrzostwa", urządzane przez stacje klimatyczne, hotele etc. Znieść wszelkie igrzyska sportowe o charakterze politycznym, zawodowym i etnicznym. Zmusić magistraty do rezygnacji z budowania wielkich stadjonów, obliczonych na urządzanie dochodowych widowisk, a skierować je na budowanie objektów skromnych, na wzór starożytnych greckich gimnazjów. Odseparować sport młodzieży szkolnej od sportu dla dorosłych, zabronić udziału widzów w zawodach dla młodzieży, poniżej lat 16. Usilnie propagować ćwiczenia sportowe wśród dorosłych, hamować natomiast zapędy sportowe u młodzieży, zbyt często dążącej do przesady. Wreszcie — zastosować, dla uchronienia przed ukrytym profesjonalizmem, indywidualną przysięgą na piśmie, z wymienieniem wszystkich źródeł dochodu danego zawodnika.

Jak widać, krytyka barona Coubertina jest ostra, a środki zaradcze, w wielu wypadkach, trudne do zastosowania; napotkają bowiem na opór „zainteresowanych"; tak tych, dla których sport jest „interesem", jak tych, którzy się nim interesują ze względu na dostarczane emocje, lecz nie zastanawiają się nad jego głębszem przeznaczeniem.

Jeśli jednak sytuacja jest zła, nie znaczy to, by była beznadziejna. Ideał dlatego nazywa się ideałem, że jest praktycznie nieosiągalny. Zbliżać się ku niemu jednak można, i zbliżać się będzie świat, póki będzie posiadał takich działaczy światłych, jak Piotr de Coubertin.

W. Junosza.

TO TAMTO I OWO

ANTIGO CAFFE GRECO.

Do kawiarni tej uczęszczał jeszcze Mickiewicz... Znajduje się ona w Rzymie, na via Condotti, a założono ją w 1760 r. W czasach reakcji było „Caffé Greco" punktem spotkania najrozmaitszych spiskowców, rewolucjonistów, karbonarjuszy i... szpiegów. A ilu słynnych ludzi siedziało przy jej gościnnych stolikach! Berlioz, Liszt, R. Wagner, Mendelsohn-Bartholdy, Goldoni, Leopardi, Silvio Pellico, Stendhal, Taine, Mark Twain, Schoppenhauer, Anderson, Thordwaldsen, Anatol France, Bourget. — Gogol napisał większą część „Martwych dusz" w tej właśnie kawiarni.

Wszystkie te wiadomości zebrał niedawno Diego Angeli, tworząc z nich arcyciekawą kronikę („Le cronacho del Caffé Greco"). U niego też znajdujemy bardzo niepochlebną charakterystykę Niemców ,pióra muzyka Mendelsohn'a, napisaną akurat sto lat temu, bo w 1830 r.

„Po jednej stronie kawiarni wolno palić, po drugiej nie. Po stronie palącej siedzą przeważnie Niemcy, w wielkich, niezgrabnych kapeluszach, ze swemi psami, których jedynem zadaniem jest chyba rozmnażanie robactwa. Ludzie ci są obrośnięci, a fajkami swemi psują powietrze. Manjery ich są wstrętne. Cudem prawdziwym jest, jeśli który z nich nosi przyzwoite ubranie lub krawat. Te trochę twarzy, co im jeszcze nie zarosło, zakrywają okularami. Popijając kawę dysputują o Tycjanie, jakgdyby ten był im równy i siedział z nimi przy jednym stole".

Dzisiaj „Caffé Greco" ma już charakter raczej muzealny ,artyści zaś i literaci przenieśli się na Corso Umberto do „Caffe Aragno".

ALFONSE DE LAMARTINE.

Rok 1930 jest rokiem brzemiennym w rocznice... Jest rokiem, w którym obchodzi się stulecie wielkiej poezji romantycznej we Francji. Nie sposób więc, mówiąc o poezji tyloma więzami związanego z nami narodu, nie wspomnieć o wielkim jego poecie A. de Lamartin'ie.

W 1830 roku, w czerwcu, ukazały się jego „Harmonje" (Harmonies poetiques et religieuses). Są one, jak powiada znany krytyk francuski, A. Thibaudet, wysokim wyrazem uczuć religijnych chrześcijańskich i to jedynym ze wszystkich wybitnych ksiąg liryki romantycznej we Francji. Wielki wpływ na życie religijne Lamartin'a wywarły kobiety, przedewszystkiem matka poety, zmarła w r. 1829. Jego poezja religijna dużo ma w sobie kobiecości. O roku 1830 wyraża się poeta w następujący sposób: „Była to epoka mego życia, w której myśl moja, pozbawiona trosk i pragnień ziemskich, zwracała się ku niebu". W tymże samym roku, opuściły prasę „Novissima Verba", połączone ściśle subtelną klauzurą uczuciowości poetyckiej z „Harmonjami". Odpowiedzią na wahania i pytania, pełne wątpień, zawarte w tym utworze, była rewolucja 1830 r., jak to widać wyraźnie z jego ody politycznej „Les Revolutions".

Życie Lamartine'a, pomimo, że był nietylko poetą, lecz i czynnym politykiem, (rola jego skończyła się w czerwcu 1848 r.) upływało naogół w spokoju i dużym dobrobycie.

Mało komu wiadomo, iż Lamartine był tym, który wyczuł pierwszy potrzebę maszyny do pisania. W 1847 r. rzekł do jednego ze swych przyjaciół: „Nie rozumiem, czemu nie wynajdą instrumentu z klawiaturą — czegoś w rodzaju fortepianu. Pisałoby się na tem bez pióra, wodząc jedynie wprawnemi palcami po klawiaturze".

Romantyzm i maszyna do pisania! 3 marca 1869 roku samotny karawan, za którym szło tylko parę osób, odwoził zwłoki poety na miejsce wiecznego spoczynku. Paryż zachował się wobec śmierci swego ulubieńca z 1848 r. z całkowitą obojętnością.

„METALOŻERNE" CHRZĄSZCZE.

Któżby mógł przypuścić, że owad może gryźć metal; a jednak profesorowie Bauer i Vollenbrück, z Instytutu badań nad metalami w Berlinie, dokonali bardzo ciekawego i doniosłego ze względów technicznych odkrycia.

Okazało się mianowicie, że istnieją żuczki, które potrafią uszkodzić rury metalowe, przeżerając w nich dziury. Są to małe, czarne owady: Dermestes peruvianus i Dermestes bardarius. Doświadczenia laboratoryjne stwierdziły, iż chrząszcze owe, umieszczone w probówkach, zamkniętych ołowianemi pokrywkami, lub w pudełeczkach ołowianych, grubości 0,2 mm., przegryzały ów metal w przeciągu 4 godzin. Szczęki ich bowiem są zaopatrzone w coś w rodzaju ostrej piły. Blachę cynową przegryzają również, potrzeba im jednak na to 36 godzin. Tylko aluminjum, cynk i mosiądz opiera się im zwycięsko. Małych metalożerców znaleźli po raz pierwszy robotnicy, pracujący nad naprawą rur wodociągowych, w uszczelkach filcowych. Okazało się, że były one jedną z wielu przyczyn, wpływających na zniszczenie rur gazowych i wodnych.

SZCZEPIENIE OSPY POD ZNAKIEM ZAPYTANIA?

Mało komu wiadomo, że i dziś jeszcze istnieją przeciwnicy ochronnego szczepienia ospy, twierdząc, że zabieg ten zatruwa i zanieczyszcza organizm. Wydaje się to dziwnem, tembardziej, że już od wielu lat niektóre ustawodawstwa nakazują przymusowe szczepienie ospy. Tymczasem w Niemczech, jednem z najbardziej pod tym względem surowych państw, postanowiono w lutym b. r. jednogłośnie, na posiedzeniu Rady Zdrowia Publ., rozluźnić przymus szczepienia ospy z 8.4 1874 r. Uchwała ta stwierdza, że należy uwzględnić życzenia rodziców lub uprawomocnionych wychowawców, którzy sprzeciwiają się stanowczo zaszczepieniu ospy u dziecka, przymus zaś policyjny należy w tym wypadku uważać za niestosowny. Pozatem uchwała Rady przewiduje odszkodowanie w tych wypadkach, w którychby stwierdzono szkody na zdrowiu, wywołane zaszczepieniem ospy. Uchwała ta została spowodowana przekonaniem, że szczepienie ospy staje się często przyczyną zaburzeń centralnego systemu nerwowego.

Tempora mutantur!

Dr. E. S.

Dostęp do morza to mocarstwowe stanowisko Polski

Wśród książek

Jim Poker — Błękitni Rycerze. — Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój". — Warszawa, 1931.

Jima Pokera znają czytelnicy choćby z łamów naszego pisma, nie mówiąc już o tem, iż „Błękitni Rycerze" to bynajmniej nie debjut literacki, gdyż oto poza 7-a książeczkami, które autor wydał już w „Roju", ukazały się jeszcze 4 jego tomy, a jednocześnie z niniejszą książką czytamy zapowiedź o nowej p. t. „Król Gibraltaru".

„Błękitni Rycerze", jak słusznie uprzedza autor w swej przedmowie, nie jest ani historyczną powieścią, ani historycznem studjum. Książka ta zawiera garść wspomnień osobistych, świetnie i z wielką swadą ujętych w formę żołnierskich anegdot, obejmujących okres tworzenia się błękitnej armji we Francji poprzez walki na froncie, upojne dni zwycięstwa, aż do wyśnionej chwili bezpośredniego niesienia służby w obronie ziemi ojczystej.

Rzeczą charakterystyczną w tej książce jest pogoda ducha, która z niej bije, zagłuszając drobne skowyty duszy i smętne nieraz refleksje — radość życia w całem znaczeniu tego słowa. I ta cecha właśnie, którą autor wyniósł dzięki długoletniemu pobytowi wśród Francuzów — jako student i jako żołnierz — cecha czysto gallijska, pozwoliła mu z uśmiechem na ustach przebrnąć przez najcięższe terminy wojenne i z uśmiechem traktować najbardziej wprost paradoksalne, nieraz śmieszne, a nieraz tragiczne sytuacje, wobec szczytnego hasła — „grandeur et servitude militaire".

Werwa autora udzieli się z pewnością wszystkim tym, co książkę jego wezmą do ręki. Zrozumieją go i wybaczą ostre nieraz uwagi pod adresem nastrojów, z których, niestety, nie zdołaliśmy się jeszcze otrząsnąć — manji, bo inaczej tego nazwać nie można, kojarzenia rzeczy wzniosłych i wielkich z pojęciem smutku, sztucznej, szablonowej obojętności, hamującej najbardziej wskazane porywy szlachetnego entuzjazmu i radości, a wreszcie traktowania w niewłaściwy sposób tego, co będąc bohaterstwem, jest jednocześnie tylko czynem prostego, szarego „poilu" — obywatela-żołnierza.

Pozostałości niewolniczej mentalności... Zapewne. Lecz czas już zapomniać o dźwięku kajdan, o ponurych bohaterach i romantycznej ckliwości, pasującej raczej do oleodruku lub melodramatu — niż do epizodu.

To jedno. A jeszcze i to, co wojaka z błękitnej armji musiało uderzyć od pierwszej chwili zetknięcia się z rodakami — i co autor włożył w usta imaginowanego, czy prawdziwego żołnierza, kaprala Maciejewskiego: „Szur, że te Polaki to naród fajny. Ino trza im do Ameryki czy do Francji na naukę. Tam twarda szkoła. Te, co wrócą, to potem będą porządne obywatele".

Rozgoryczenie to jest zupełnie zrozumiałe, wobec tych licznych faktów, które cytuje autor z przeżyć osobistych, jak np., że żołnierza, co z drugiego krańca świata przybył do Ojczyzny, aby ją bronić własną piersią — naczelnik stacji wyrzucił z przedziału, by ulokować w nim małżonkę (prawą lub nieprawą) jakiegoś potentata; lub to, że jakiś cywil dowodził wojakowi, iż w Rosji było lepiej; że niejednego żołnierza okradali w hotelu, a drugiego ze skóry złupiono w restauracji lub innego wreszcie posadzono „do paki" za to, że nie salutował jakiegoś kapitana.

Tak było... Przyznajmy się...

Lecz nie rozwódźmymy się nad temi faktami i niechaj każdy zaczerpie radości życia z pocciwej książki naszego przyjaciela, Jima Pokera, — bo to właśnie było jego intencją!

M. Buyno-Arctowa. — Perły księżniczki Maji. Bajka nie bajka. Błękitnemu chłopcu opowiedziana. Z 13 rys. A. Gawińskiego. Wyd. II. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930.

Głównym wyjątkiem powieści jest legenda o perłach rodzinnych, przynoszących nieszczęście. One też są przyczyną wszystkich przygód i przeżyć małej księżniczki. Dziwne są te przeżycia. Stoją już na progu fantazji i rzeczywistości. Zasadniczo nic w nich niema nieprawdopodobnego, lecz czytając o nich, wchodzimy wraz z świetlaną postacią księżniczki Maji w przepiękny świat bajki-niebajki.

Jeśli można mówić o kolorycie książki, to koloryt „Pereł Księżniczki Maji" jest zdecydowanie wyraźny. Złoty, kolor słońca, jako symbolu wszystkiego, co dobre i piękne. To umiłowanie słońca przebija niemal z każdego zdania powieści. A jednocześnie dla uwidocznienia kontrastów — autorka kreśli niektóre epizody i sylwetki czernią, przez co tamte, jasne, zyskują jeszcze na wyrazistości i sile. Barwny, obrazowy styl i żywy, jędrny, bogaty język znakomicie harmonizują z treścią.

W. Gomulicki. Życie dla Ojczyzny. Powieść. Wydanie IV z rys. St. Bagieńskiego. Wydawn. M. Arcta w Warszawie, 1930.

Książka osnuta jest na tle ostatnich lat panowania Stanisława Augusta, a więc konstytucji trzeciega maja, wojny roku 1792, a zwłaszcza powstania Kościuszkowskiego. Głównymi jej bohaterami są dwaj młodzi kasztelanice, a ich losy, boje i przygody są treścią powieści. Obok nich występuje wiele osobistości historycznych, tych właśnie, które wówczas odgrywały główną rolę.

Książka ta, napisana żywo i zajmująco, a jednocześnie owiana szlachetnym duchem patrjotycznym, należy do jednej z najlepszych powieści historycznych dla młodzieży. Na rynku księgarskim była od dłuższego czasu wyczerpana, poprzednie zaś wydania cieszyły się zasłużonem powodzeniem.

Janowski Al. „Nasz plac". Opowiadanie dla dzieci. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930.

W IV wydaniu ukazał się „Nasz plac" Janowskiego, książka, oddawna ciesząca się ogromnem powodzeniem wśród młodocianych czytelników. Jest to wesołe opowiadanie o gromadce dzieci warszawskich — dzieci ulicy. Miały one „swój" plac, na którym ku ich rozpaczy rozpoczęto budować kamienicę. Zmartwienie jednak minęło szybko, bo dzieciaki w zmienionych warunkach znalazły dla siebie jeszcze więcej rozrywek, zapoznają się z robotnikami, towarzyszą im przy robotach i coraz dowiadują się czegoś nowego.

Książkę cechuje przedewszystkiem miły i pogodny humor. Z jaką werwą i znajomością dzieci — opisuje autor ich wesołe i zabawne, zrzadka tylko smutniejsze przejścia i przygody. A jednocześnie książka, mimo pozornej beztroski, spełnia duże zadanie pedagogiczne. Autor bowiem nadzwyczaj umiejętnie podaje między opisem uciech i trosk dziecięcych mnóstwo wiadomości krajoznawczych, tak, że mały czytelnik, przeczytawszy książkę, dowie się, że „naszym placem" jest właściwie cały kraj.

M. Konopnicka. W domu i świecie. Z 3 ryc. kolor. i 24 czarn. A. Gawińskiego. Wydawn. M. Arcta w Warszawie, 1930.

Piękną formę otrzymała ta książka, stanowiąca piątą z cyklu, obejmującego drobniejsze wiersze Konopnickiej dla dzieci. Forma dowodzi wyraźnie, jakim pietyzmem otacza księgarnia M. Arcta utwory wielkiej poetki. Na formę tę składają się: ładny papier, nadzwyczaj staranny druk, a przedewszystkiem strona ilustracyjna. Rysunki bowiem Antoniego Gawińskiego i to zarówno trzy barwne, jak i liczne jednokolorowe, doskonale harmonizują z treścią i wybitnie podnoszą zewnętrzny wygląd książki.

Cztery wspomniane książki z lat ubiegłych, przeznaczone są dla dzieci młodszych, ta zaś ze względu na dobór tematów, nadaje się dla dzieci starszych. Wierszyki z najrozmaitszych dziedzin życia przeważnie są wesołe i pogodne, ale że Konopnicka lubi przemawiać do serduszek dziecięcych, jest trochę bardziej nastrojowych, mających za cel obudzić w dzieciach szlachetne uczucia współczucia i troski o innych. Z wszystkich względów, książka ta stanowi prześliczny, prawdziwie ozdobny podarek gwiazdkowy.

Or-Ot. Światek dziecięcy. Wybór wierszyków. Z 40 ryc. W. Romeykówny. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie, 1930.

Książka ta należy do serji dobrze od kilku lat znanych książek trzy-złotowych. Zawiera zbiór krótkich, lekkich, łatwych w czytaniu wierszyków dla dzieci młodszych. Zgodnie ze swem przeznaczeniem jest nader bogato ilustrowana: na każdej stronie przynajmniej jeden rysunek.

Trudno też osądzić, co jest większą atrakcją „Światka dziecięcego", czy wiersze, czy rysunki Wandy Romeykówny. Za wartość artystyczną i treściwą wierszy, mówi nawisko autora. Or-Ot świetnie potrafi pisać dla dzieci. Daje formę prostą i przystępną, zgodną z wesołą i beztroską treścią. Jednocześnie treść tę uzupełnia Romeykówna. Rysunki jej odznaczają się werwą, rozmachem, a co najważniejsza, doskonale uchwyconym ruchem i grą twarzy dziecięcych. Rysunki są nawskroś realistyczne, bo tylko takie ujęcie może być zrozumiane przez młodociane umysły.

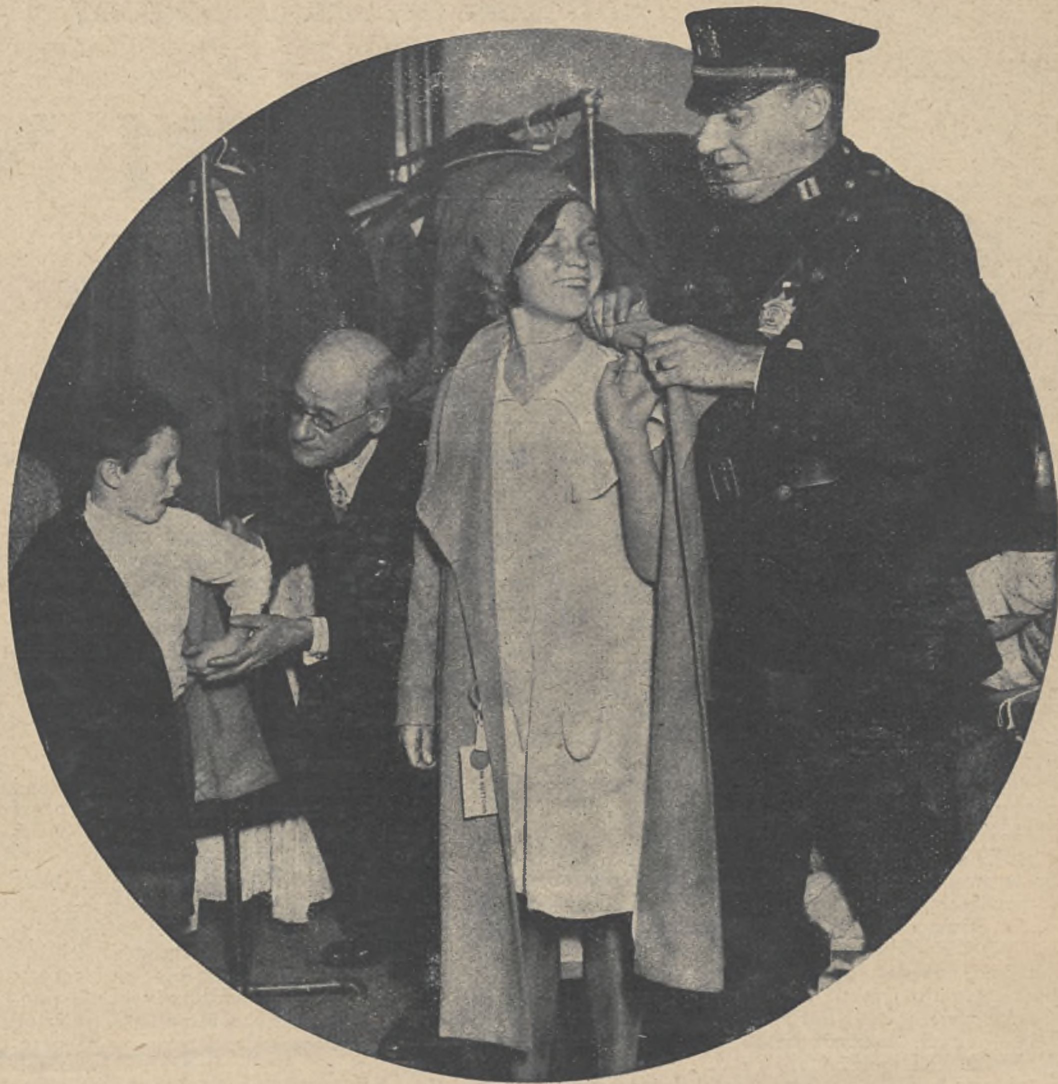
Numer gwiazdkowy **naszego pisma ukaże się nie w czwartek, lecz w sobotę, 20 grudnia b. r.**

REDAKCJA

Bezrobocie w Stanach Zjednoczonych



Jest o czem pomyśleć, gdy ma się na głowie troskę o los blisko 4 miljonowej rzeszy bezrobotnych. Cztery miljony ludzi — toć prawie ludność 2-ch państw bałtyckich Estonji i Łotwy... Na fotografji — prezydent m. New Yorku, w chwili podpisywania miljonowego czeku na pomoc bezrobotnym miasta olbrzyma



W magazynie odzieżowym państwowego komitetu pomocy bezrobotnym.



W „czarnej" dzielnicy New Yorku, Harlemie, w chwili rozdawania żywności.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50, półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk
Ceny ogłoszeń: cała strona zł 1.200. ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1 50, układ 3-szpaltowy
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca PRASA ILUSTROWANA S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.